ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 4(4) 97 ROK II
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Zenon Czarnecki

W grodzie winnic

Nad omszałymi wieżami
wieczór zawisł księżycem
gwiaździste galeony
płyną między dachami
wiatr rozśpiewuje legendy
o staromiejskich zaułkach
Bachus zmęczony przycupnął
pod schodami ratusza
na stokach wzgórz morenowych
wschodzących nocną zielenią
pulsuje aromat wina
cierpką słodyczą zieleni

Ze zbioru „Strofy o Zielonej Górze"
pod red. Zenona Łukaszewicza

il. Stanisław Para

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Repr. Leszek Krutulski-Krechowicz
Motyw winobraniowy
ze starej pocztówki

Druk:

Drukarnia „EURODRUK"
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

OD REDAKCJI

Przybywającym w 1945 r. do Zielonej Góry polskim pionierom jawiła się ona jako pełne uroku miasto winnic i ogrodów. Dziś już niewiele zostało z tamtej atmosfery, są jednak symbole i kultywowane tradycje – przede wszystkim winobraniowe. W związku z niedawno zakończonym kolejnym zielonogórskim Winobraniem *Anno Domini* 1997' przypomina o tych tradycjach Grzegorz Chmielewski. Powojenne dzieje zielonogórskich ogrodów i ich właścicieli opisuje natomiast Agnieszka Stawiarska. O swoich życiowych doświadczeniach opowiedzieli nam senior zielonogórskich rzemieślników, pan Zdzisław Adamczewski, oraz matka pierwszego urodzonego po wojnie dziecka, pani Helena Piłat. W sentymentalny świat dawnego Muzeum Miejskiego wprowadza nas kustosz Muzeum Ziemi Lubuskiej, Anna Ciosk. Swe nauczycielskie wspomnienia kontynuuje pani Zofia Malinowska, zaś pani Jadwiga Kolibabaka wraca myślami do krainy swego dzieciństwa – Polesia. To ważny nurt naszych zainteresowań – niegdysiejsze „małe ojczyzny" późniejszych zielonogórzan: te na dawnych kresach wschodnich, w Polsce centralnej czy w Wielkopolsce.

Niestety, nie napisze już nam wspomnienia o rodzinnej ziemi lwowskiej zmarły w lipcu tego roku nestor zielonogórskich historyków, wybitny regionalista, profesor Władysław Korcz. Poświęcił Jego pamięci swe „Rozmyślania po północy" Jan Muszyński.

Najpiękniejsze nawet współczesne miasto nie może żyć tylko tradycją i wspomnieniami. Do każdego domostwa musi być doprowadzona woda i energia. Dziejom jednego z ich dostarczycieli – miejskiej gazowni – poświęcił swój artykuł Zbigniew Bujkiewicz. Innym zakładom i instytucjom komunalnym chcielibyśmy poświęcić uwagę w przyszłości.

Jak zawsze, polecamy Czytelnikom wszystkie zawarte w numerze nowe materiały oraz stałe pozycje czasopisma, poświęcone zielonogórskim gmachom, turystyce, poradom i rozrywce.

Winobraniowe tradycje Zielonej Góry

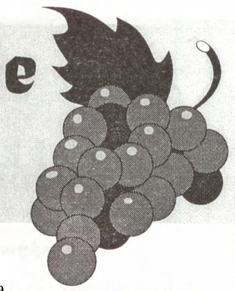

Dzieje zielonogórskiej winorośli, silnie splecione z dziejami miasta, swymi początkami sięgają czasów średniowiecza. Pierwsza źródłowa wzmianka o zielonogórskich winnicach pochodzi wprawdzie dopiero z 1314 r., w pełni uzasadnione jest jednak przypuszczenie, że uprawę winnych krzewów podjęli zielonogórzanie już w XIII w. Nie byli jednak na ziemiach polskich w tej dziedzinie nowatorami. Uprawa winorośli znana bowiem była w Polsce piastowskiej już w drugiej połowie X w., a w następnych stuleciach jej zasięg – początkowo ograniczony – znacznie się rozszerzył, na co wskazują wyniki badań archeologicznych, odkrycie winogronowych pestek w Gnieźnie, Poznaniu, Krakowie i Gdańsku oraz najstarsze wzmianki źródłowe o winnicach w Płocku, Włocławku i Zagościu, a także w Trzebnicy, Oleśnicy, Krzeszowie, Jaworowie i Solnikach na Śląsku. Potrzeby liturgii, a w dalszej kolejności również książęcego stołu, stały się powodem, że w okresie piastowskim klasztory, przede wszystkim benedyktynów, a następnie cystersów, podjęły uprawę winorośli, uniezależniając się w ten sposób od niepewnych dostaw wina z Zachodu. W XIII w. do uprawy winnego krzewu włączyły się również miasta, spodziewając się określonych korzyści materialnych.

Z czasem, gdy wymiana handlowa z krajami Zachodu i Południa rozwinęła się w szerokim zakresie, a liczne i bezpieczne szlaki handlowe umożliwiły nieprzerwany import win węgierskich i reńskich, obszar krajowych winnic uległ ograniczeniu do terenów Polski południowo-zachodniej. Tutaj, w klimacie łagodniejszym, adaptacja winnego krzewu do miejscowych warunków poczyniła największe postępy. Jednak i na obszarze środkowego Nadodrza, oderwanym od macierzy, walka winogrodników z klimatem jakże często kończyła się klęską człowieka. Świadczą o tym wymownie dzieje zielonogórskich winnic odczytywane z kronikarskich zapisków.

Lata 1313-1315 to okres katastrofalnych deszczów, nieurodzaju i głodu dziesiątkującego zielonogórzan. Gdy do klęski nieurodzaju dołączyła się jeszcze zaraza, spośród mieszkańców Zielonej Góry ocalało (jeśli wierzyć kronikarzom) zaledwie sto osób. W końcu lat trzydziestych tegoż wieku na zielonogórskie winnice spadła szarańcza, a to czego nie pożarły owady, zniszczył przedwczesny mróz. W następnych latach dużym nakładem pracy odbudowano winnice, które w 1352 r. przyniosły szczególnie obfite zbiory.

Również w następnych stuleciach lata pomyślnych zbiorów przeplatały się z klęskami żywiołowymi oraz niszczącymi miasto wojnami. Szczególnie dotkliwie dała się zielonogórzanom we znaki ostra zima w 1453 r. Silne mrozy zniszczyły drzewa owocowe i wszystkie winne krzewy; z zimna padać miało nie tylko ptactwo, lecz nawet zwierzęta leśne. Winnice odrodziły się dopiero po kilkunastu latach za sprawą Henryka IX, księcia głogowskiego, który w 1466 r. sprowadził winne krzewy z Węgier, Austrii i Francji. Miał widać „szczęśliwą rękę", gdyż następne lata były okresem pomyślnym dla zielonogórskich winnic, a winobranie w 1472 r. uznano nawet za rekordowe. Jednak w kilka lat później ostre zimy, a szczególnie zawierucha, jaką przyniosła ze sobą głogowska wojna sukcesyjna, podczas której przez miasto i winnice przewalały się wojska brandenburskie, węgierskie, czeskie i rodzime księcia żagańskiego Jana Szalonego, doprowadziły niemal do całkowitej dewastacji zielonogórskich winnic. Nadszedł jednak rok 1484, rok tak obfitych zbiorów, że zabrakło beczek do przechowywania wina; za beczkę pustą dawano, jak wieść niesie, zawartość pełnej.

Schyłek XV w. był szczególnie pomyślny dla zielonogórskich winnic: łagodne zimy sprzyjały dobrym plonom, a opiekuńcza polityka książąt sprzyjała rozwojowi handlu. Wino z zielonogórskich wzgórz eksportowano w dużych ilościach poza granice księstwa głogowskiego.

Staranna pielęgnacja winnic oraz postępująca aklimatyzacja winorośli coraz skuteczniej chroniła miejscowe winnice przed kaprysami pogody. Jednak w XIX w. wyraźnie zaznaczył się upadek zielonogórskich plantacji winorośli. Zasadniczym powodem ograniczenia ich uprawy były zmiany w dotychczasowej strukturze nadodrzańskiej gospodarki. Industrializacja i rozwój ciężkiego przemysłu stworzyły nowe warunki dla uprawy winorośli oraz produkcji i zbytu wina. Produkcja ta wobec braku taniej siły roboczej stała się mało opłacalna. Zmniejszający się w XIX w. obszar uprawy winnego krzewu uległ drastycznemu ograniczeniu w okresie międzywojennym. Miejsce winnic zajęły inne uprawy, głównie sady. Ostatnią wojnę przetrwały w Zielonej Górze jedynie winnice w rejonie ulic Botanicznej i Krośnieńskiej, lecz i one musiały ulec w konfrontacji z potrzebami budowlanymi intensywnie rozwijającego się miasta. Tak więc jedynym i jakże skromnym reliktem niegdyś dużych plantacji jest obecnie niewielka winnica na wzgórzu przy ul. Wrocławskiej.

Zmniejszaniu się areału winnic towarzyszyło w XIX w. powiększanie się powierzchni sadów. Coraz szerzej zielonogórscy producenci win, z największą wytwórnią Gremplera włącznie, podejmowali produkcję win owocowych, która w okresie międzywojennym zdecydowanie przeważała.

W latach powojennych, już w 1945 r. podjęła w Zielonej Górze produkcję Państwowa Wytwórnia Win Musujących (dawne zakłady Gremplera), wytwarzająca wyłącznie szampany w oparciu o stare zapasy winnego moszczu. Po wyczerpaniu tego szlachetnego surowca, już jako Państwowa Wytwórnia Win, podjęła produkcję win owocowych oraz miodów. Zastosowanie automatyzacji pozwoliło zwielokrotnić produkcję wytwórni, która z 592 tys. litrów w 1948 r. wzrosła do 4506 tys. w 1960 i ponad 8 milionów litrów w latach osiemdziesiątych. Wytwórnia nie zrezygnowała jednak z produkcji win gronowych. Importując surowiec z Bułgarii i Węgier, Lubuska Wytwórnia Win była przez wiele lat głównym, krajowym producentem win nie tylko owocowych, lecz również gronowych. Wiele gatunków win zielonogórskiej wytwórni uzyskało wyróżnienia, a nawet odznaczone zostało medalami na międzynarodowych wystawach i targach (gronowe wina „Monte Verde" i „Laur Lubuski" oraz owocowe „Lubuskie czerwone" i „Basztowe").

Każdego roku punktem kulminacyjnym w procesie uprawy i pielęgnacji winorośli – oczekiwanym przez właścicieli plantacji z nadzieją, ale i z niepokojem – był okres zbiorów, wieńczący całoroczny wysiłek winogrodników. Winobranie przypadało w Zielonej Górze na pierwszą połowę października (chociaż nie zawsze) i trwało kilka dni. Pierwszy dzień rozpoczynający zbiory traktowany był jako dzień świąteczny. Od 1852 r. początek winobrania wyznaczała rada miejska, która patronowała zbiorom. Niektóre zwyczaje winobraniowe sięgały czasów średniowiecza: początek zbiorów tradycyjnie zapowiadało bicie dzwonów kościelnych, a pierwsze cięcia koserem w winnicy wykonywał jej właściciel. Ukoronowaniem zbiorów był korowód winobraniowy, organizowany z różnorakim rozmachem, zależnie od tego, czy zbiory były bardziej, czy też mniej udane. W pamięci potomnych zapisały się jako szczególnie wystawne korowody winobraniowe inscenizowane w latach 1846 i 1850, z licznymi scenami i postaciami historycznymi. Ważną rolę w pochodzie odgrywał oczywiście Bachus – bóg wina.

Znamy anonimowy opis zielonogórskiego winobrania z 1887 r., opublikowany w kobiecym piśmie warszawskim „Bluszcz", który godzi się – przynajmniej we fragmentach – przytoczyć:

„Dnia 21 września o 6 godzinie rano wszystkie miejscowe dzwony zwiastowały Zielonejgórze prastarym zwyczajem wieść miłą i z wielką, jak zwykle, wyczekiwaną niecierpliwością – początek winobrania. Władza administracyjna termin ten wyznacza.

Trzeba znać i wiedzieć, czemu tu jest winobranie. Radość przepełnia wszystkie serca na pierwszy odgłos do winnic zwołujący pracowników. Winnice przed winobraniem spokojne, głuche, bo puste, jakby w zadumie pogrążone, ożywiają się naraz życiem, radością i zgiełkiem najprzyjemniejszego zajęcia, jakie sobie wyobrazić można... A roją się pracownicy i pracownice, młodzież i dzieci, pełno ich pomiędzy winorośli rzędami i około tłoczni, wszędzie tętni życie i radość, czemu w wielu miejscach przygrywa muzyka, wtorują śpiewy; słychać huk pistoletów, okrzyki; widać rakietowe ognie wieczorami i palenia stosów chrustu, a około płonących tych ogni wesołe pląsy. Lecz gdzie dużo pustoty, tam i łzy niedaleko. Zawsze się tu coś niepożądanego najlekkomyślniejszym dostaje na pamiątkę.

Na czas winobrania zapraszają właściciele winnic zamiejscowych swych znajomych, niby do pomocy, a właściwie dlatego, że to pora najpewniejszego i najlepszego ugoszczenia, uraczenia i zabawienia gości. To też tętni w Zielonogórze wieczorami w czasie winobrania życie towarzyskie po familiach, po kasynach i resursach".

W sto lat po ukazaniu się tego reportażu, którego autorką była niewątpliwie Melania Parczewska, zielonogórzanie zapraszają nadal na czas – teraz już symbolicznego – winobrania zamiejscowych krewnych i znajomych, jednak sama uroczystość w sposób dość zasadniczy zmieniła swój charakter. Stała się okazją do organizowania licznych imprez kulturalnych i sportowych, które ściągają do Zielonej Góry rzeszę przyjezdnych z całego kraju, a nierzadko i zagranicy. Największe zainteresowanie wzbudza jednak nadal korowód winobraniowy i jego główny bohater – Bachus.

Rys. Irena Bierwiaczonek

Jest rzeczą zadziwiającą, że zielonogórscy osadnicy już w 1945 r. nawiązali do miejscowej tradycji i w dniach 22 i 23 września zorganizowali pierwszą po wojnie uroczystość winobraniową. Czyżby uświadamiali sobie, że w istocie nawiązują do tradycji rodzimych, bo (o czym wspomina Melania Parczewska) „gdy Szlązk jeszcze do Polski należał, już tu na większą skalę istniały winnice".

O ile pierwsze powojenne winobranie miało wiele cech improwizacji, to kolejne w 1946 r. przygotowane zostało już bardziej starannie i wzbogacone o korowód winobraniowy, w którym nie zabrakło również Bachusa.

Gorącym zwolennikiem kontynuowania winobraniowych tradycji był Alfons Bogaczyk, dyrektor Zielonogórskich Zakładów Graficznych, inicjator pierwszej po wojnie uroczystości winobraniowej, autor scenariusza korowodu winobraniowego w 1946 r. i innych scenariuszy korowodów w latach następnych.

W miarę upływu lat wzbogacał się program uroczystości winobraniowych, wzrastała ich ranga i poszerzały ramy czasowe winobrania, przekształconego w istocie w Dni Zielonej Góry. W latach sześćdziesiątych do programu Dni włączone zostały dwie poważne imprezy, organizowane na przemian co dwa lata: Ogólnopolska Wystawa i Sympozjum „Złotego Grona" oraz Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca. W ostatnich latach ofertę kulturalną wzbogaciły z kolei „Winobraniowe Spotkania Teatralne".

Na bogaty program Dni, oprócz imprez kulturalnych, składa się również wiele imprez sportowych, występów o charakterze rozrywkowym, a także liczne kiermasze i targi kolekcjonerskie. Kulminacyjnym punktem programu Dni Zielonej Góry i Winobrania pozostaje jednak w społecznym odczuciu korowód winobraniowy, tak chętnie oglądany przez mieszkańców Zielonej Góry i winobraniowych gości.

Grzegorz Chmielewski

Podstawowa bibliografia

H. Schmidt: Geschichte der Stadt Grünberg. Grünberg 1922; B. Kres: Winiarstwo na Ziemi Lubuskiej. Poznań 1972; [M. Parczewska]: Winobranie w Zielonogórze na Szlązku. Posłowie: G. Chmielewski. Zielona Góra 1979; Toż. Komentarz: G. Chmielewski. Nadodrze 1981 nr 18 s. 1

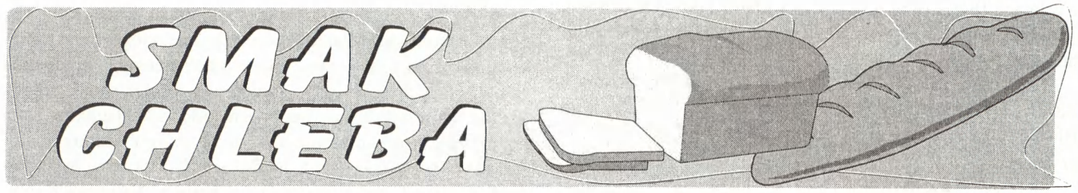

Jedną z pierwszych po wojnie w Zielonej Górze była uruchomiona w pierwszych miesiącach 1945 roku piekarnia Zdzisława Adamczewskiego. Istnieje ona do dzisiaj na rogu ul. Kupieckiej i Niepodległości, a więc już ponad 50 lat!

W tych pierwszych miesiącach i latach chleb był tu bardzo potrzebny, stanowił podstawę wyżywienia dla stacjonujących tu wojsk uwikłanych w trwającą jeszcze wojnę i zjawiających się po wojennych przejściach z różnych stron kraju i świata osadników. Zapewne i to miał na myśli Adamczewski, kiedy w 1945 r. podejmował wraz z grupą rówieśników decyzję wyjazdu do Zielonej Góry. Był jednym z tych Wielkopolan, którzy zjawili się tu jako pierwsi. Miał wtedy 27 lat, bo urodził się 6 września 1918 roku w Pniewach. Naukę zawodu rozpoczął jeszcze przed wojną u cechmistrza Piotra Kabacińskiego w piekarni przy ul. Półwiejskiej w Poznaniu. W czasie okupacji Niemcy odebrali ją Kabacińskiemu, a Adamczewskiego skierowali do pracy w piekarni Kazimierza Fengla przy ul. Prądzyńskiego. Tu pracował jako piekarz i jako cukiernik przez cały czas okupacji i ten okres swojego życia wspomina dobrze, choćby ze względu na przydziały cukru dla piekarni.

Wojna dobiegała końca, walki o Poznań już się zakończyły. Niemcy bronili się jeszcze w Cytadeli. Adamczewski został kierownikiem piekarni, w której dotychczas pracował u Fengla i dalej piekł chleb, wykorzystując zapasy mąki, dla walczących z faszystami czerwonoarmiejców i Polaków. Otrzymał za to pismo z podziękowaniem od władz wojskowych, w którym m.in. napisano: „[...] zaświadcza się, że ob. Zdzisław Adamczewski piekł pod nieprzyjacielskim ogniem chleb dla Armii Radzieckiej i społeczeństwa Poznania [...]".

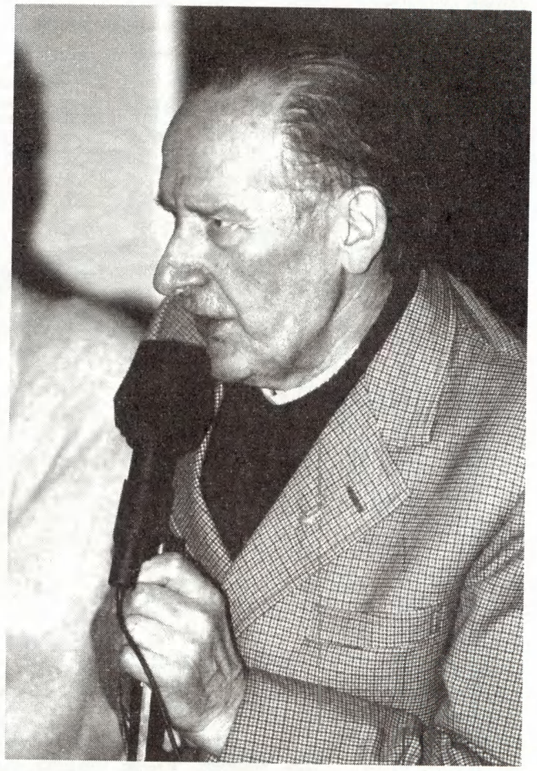

Dzień Seniora 1996 r. – p. Zdzisław Adamczewski.

Kiedy walki w Poznaniu ustały a front przesunął się nad Odrę, powstały warunki, aby zrealizować ustalony wcześniej z przyjaciółmi zamiar wyjazdu na – jak to się wtedy mówiło – Ziemie Odzyskane. Wybór padł na Zieloną Górę, do której dotarli nie bez kłopotów. Adamaczewski już wiedział, że chce objąć i prowadzić piekarnię. Znalazł ją w tym samym miejscu, w którym mieści się ona po dzień dzisiejszy.

Początkowo nie było łatwo. Trzeba było doprowadzić do porządku urządzenia piekarni /większy remont piekarni Adamczewski przeprowadził dopiero w latach sześćdziesiątych/, zatroszczyć się o paliwo do pieca, a przede wszystkim o mąkę. Na pierwsze wypieki otrzymywało się ją od wojska. Później były już normalne przydziały, w zależności od zarejestrowanych kartek, bo chleb był na kartki. Dopiero po naszych interwencjach w Wydziale Aprowizacji i Handlu Zarządu Miejskiego, którego kierownikiem był Müldner-Nieckowski, uzyskaliśmy także mąkę pszenną. Pozwoliło to zwiększyć wybór pieczywa, które można było nabywać także w wolnej sprzedaży, ale było ono droższe. Po złożeniu egzaminu mistrzowskiego Adamczewski zajął się produkcją wyrobów cukierniczych, z których piekarnia była i jest znana, np. poznańskie „szneki z glancem". Sam niejednokrotnie zaspakajałem uczucie głodu taką smakowitą drożdżówką.

W miarę stabilizacji sytuacji w mieście i krzepnięcia piekarni Adamczewski zaczął udzielać się społecznie, z czego także był znany. Dziś z rozrzewnieniem wspomina swoje uczestnictwo w chórze męskim, który istniał przy Cechu Rzemiosł Różnych. Występy tego chóru odbywały się w nie istniejącym już dzisiaj hotelu Parkowym przy ul. Dąbrówki. Cieszyły się one dużą popularnością. Ale na dłuższy czas i z dużym powodzeniem – o czym świadczyły zdobiące ściany sklepu piekarniczego liczne dyplomy – zawładnął Adamczewskim sport, a ściślej boks. Jeszcze przed wojną w poznańskim KS „Warta" ćwiczył lekkoatletykę. W Zielonej Górze odnaleźli go klubowi koledzy, którzy organizowali przy zielonogórskim Cechu Klub Sportowy „Zieloni". Boks go zauroczył, poświęcał mu sporo czasu. Miał ku temu warunki. Były sukcesy i porażki. Nie żałuje tego, choć uprawianie tej dziedziny sportu nie wyglądało tak jak dzisiaj. Wtedy częściej zdarzały się uderzenia w stylu Gołoty...

Wiele czasu i pracy poświęcił jednak Cechowi Rzemiosł Różnych, który organizował wraz ze Stanisławem Mischke. A było to tak – mówi p. Zdzisław – zagadnął mnie Stanisław, mówiąc – znam twojego ojca /był przed wojną urzędnikiem w Urzędzie Stanu Cywilnego w Pniewach/, bo byliśmy razem w Powstaniu Wielkopolskim i ty teraz musisz mi pomóc. I rzeczywiście. W krótkim czasie Cech Rzemiosł Różnych zrzeszał już wszystkich rzemieślników mieszkających w Zielonej Górze. Ich liczba rosła, gdyż przynależność do Cechu była wtedy obowiązkowa. Pracy w organizacji było wiele, trzeba było zadbać o szkolenie młodego narybku, zabiegać o niezbędne surowce do produkcji, spierać się o właściwy wymiar podatków. Nie było to łatwe, bo ówczesny kierownik Wydziału Finansowego Zarządu Miejskiego Eugeniusz Choinka twardą ręką je ściągał. Adamczewski często bywał w Cechu, przez wiele lat był jego Starszym. Niedawno funkcję tę objął po nim i aktualnie ją pełni także piekarz Michał Skubiszewski, zaś szefem sekcji piekarzy jest Zygmunt Stabrowski. Do dziś, mimo że ma już prawie 80 lat, także często w nim bywa, troskliwie prowadzony na ul. Reja przez syna Wojciecha. Z poręki Cechu i Stronnictwa Demokratycznego, którego Adamczewski był członkiem, przez kilka kadencji był radnym MRN w Zielonej Górze, gdzie szczególnie zabiegał o sprawy rzemiosła. I dzisiaj, choć nie pełni już żadnych oficjalnych funkcji, nadal żyje tymi sprawami, głównie ich ustawowymi uregulowaniami. Bo przecież nie może być tak, że wystarczy tylko rejestracja działalności bez potwierdzenia kwalifikacji, aby prowadzić działalność rzemieślniczą. Cierpi na tym interes rzemiosła i klientów, którzy padają często ofiarą hochsztaplerów. Nie zgadzają się z tym członkowie Cechu i poparcie ich postulatów w tej sprawie wiążą, zdaniem Adamczewskiego, z osobą szefa sekcji piekarzy Cechu Zygmunta Stabrowskiego, jeśli wybrany zostanie posłem do Sejmu RP.

Przyszłość należy do rzemiosła i szerokiej sfery usług, których ciągle za mało, bo czasy wielkich, mechanicznych piekarni – które p. Zdzisław traktuje wręcz symbolicznie już się skończyły. Teraz konsumenci szukają naprawdę chrupiących bułeczek i smacznego, pachnącego chleba. Smak chleba z każdej piekarni jest inny. Zależy od receptury i ręki mistrza, jakości mąki, ilości dodawanego do niej kwasu, no i pieca. Adamczewski miał piec piersiowy, może tradycyjny, ale wychodził z niego dobry chleb.

I tak dochodzimy do sprawy najważniejszej, z którą jakby zwlekał. Piekarnię wydzierżawił dobrym piekarzom: Skubiszewskiemu i Rzepce, choć jego dwaj synowie, Kazimierz i Wojciech, mają dyplomy mistrzów piekarskich. Może jeden z nich podejmie dzieło ojca, Honorowego Obywatela Zielonej Góry?

Wiesław Nodzyński

ZMARLI PIONIERZY - 1997 R.

Kazimierz Guzowski 12 III
Bolesława Łaszyńska 18 III
Helena Mraczkiewicz 22 III
Aleksandra Piłat 15 V
Marianna Brzuskiewicz 26 V
Krystyna Maślankiewicz 3 VII
Regina Burkowska 13 VII
Marian Łukaszewicz 23 VII
Julia Serdecka 5 VIII
Michał Mikucki 7 VIII
Jan Usewicz 13 VIII

Wspomnienia i relacje

Lata pracy i nauki

Pierwszą moją pracą w wolnej Polsce, po przymusowych robotach w Niemczech i w obozie koncentracyjnym Stutthof, było oczyszczanie torów kolejowych na stacji PKP Unisław. Razem z miejscową młodzieżą chodziliśmy codziennie piechotą do miejsca pracy około 5 km. Jednak droga ta nie była dla mnie daleką, bo szliśmy gromadą i ze śpiewem. Pierwsze lata po ukończeniu szkoły 7-klasowej przypadały na okres okupacji i robót przymusowych, nie miałam możliwości dalszej nauki, toteż przy pracy na torach kolejowych często dyskutowaliśmy i nasłuchiwaliśmy nowin, gdzie i czego można się uczyć.

Pewnego dnia wyczytaliśmy w gazecie, że Polski Czerwony Krzyż w Chełmnie prowadzi werbunek na kurs pielęgniarski. Udałam się więc rowerem do tego miasta /18 km/. Z wielką radością wracałam do domu po przyjęciu mnie na listę kandydatek tego kursu. Czekając na wiadomość o rozpoczęciu kursu pracowałam nadal. Zniecierpliwiona czekaniem na obiecaną wiadomość ponownie udałam się do Chełmna, ale już ze starszą ode mnie koleżanką. Przyjęto mnie w PCK bardzo życzliwie, bo byłam jedyną, która nie zrezygnowała. Wytłumaczono mi też, kiedy zdziwiona pytałam, dlaczego kandydatki zrezygnowały, że po prostu bały się wojny, która miała ponownie wybuchnąć /1945/. Kierowniczka PCK widząc moje oburzenie i wielką ochotę do nauki dała mi adres do szpitala wojskowego w Chełmnie. Udałam się tam niezwłocznie. Przyjął mnie kwatermistrz por. Wojciech Dembiński wprowadzając znowu w zdziwienie. Zamiast zapisać mnie na kurs pielęgniarski namawiał mnie usilnie do podjęcia pracy w kancelarii szpitala. Broniłam się przestraszona, a jednocześnie świadoma, że właśnie w tym szpitalu garnizonowym mogę zdobyć zawód, który wymarzyłam sobie w Niemczech na robotach i w obozie koncentracyjnym, gdzie często widziałam śmierć i kalectwo. Widząc moje wahanie wąsaty porucznik uśmiechając się zapewnił, że na pewno nauczę się szybko pracy w biurze i że kurs na pewno również ukończę.

Wróciłam więc do matki po rzeczy osobiste, a okazało się, że również po to, aby pożegnać się znowu na długo z domem rodzinnym. Pracę rozpoczęłam 15 X 1945 r. w Szpitalu Garnizonowym-Ewakuacyjnym nr 38, jako kancelistka pod czujnym okiem „szefa" kancelarii sierżanta Wiesława Kosa nauczyłam się rzeczywiście szybko tego, czego ode mnie żądano. W wolnych chwilach uczyłam się pisania na maszynie. Szef kancelarii i kwatermistrz z mojej pracy byli zadowoleni.

Podpatrywałam życie załogi, zwiedzałam miasto i wrosłam w wielką rodzinę załogi garnizonowego szpitala. Zima 1945/1946 roku szybko minęła, a zarobione pieniądze dzieliłam na moje potrzeby i potrzeby mej chorej matki i siostry przebywającej w szpitalu. Ojciec już nie żył.

Przyszła wiosna 1946 roku a z nią nowina i namowy kwatermistrza na wyjazd oraz przygotowanie do dalszej ewakuacji szpitala, tym razem do Zielonej Góry. Mnie nie trzeba było długo namawiać, bo byłam ciekawa tego miasta, które wcześniej niż reszta kraju pokrywało się zielenią – o czym zapewniał nas kwatermistrz. W pierwszych dniach kwietnia 1946 roku wyposażenie szpitala i chorzy ulokowani w wagonach oraz załoga, a wśród niej ja – znowu bez matki i sióstr udawałam się w szeroki, nie znany mi świat. Tym razem wśród swoich, w gronie załogi szpitala.

Wieczorem 4 kwietnia 1946 r. dotarliśmy do celu podróży – stacji kolejowej Zielona Góra, gdzie miałam wyznaczoną godzinę warty. Następnie nocleg w wagonach i rano o świcie wymarsz do zabudowań szpitala przy ulicy Wazów. Ogromny teren wyglądający jak ogród czy park, bo rosły świerki, wierzby „płaczące" i drzewa owocowe.

Personel Szpitala Garnizonowego.
Zielona Góra 1948 r.

A jeden wielki gmach to szpital z oszkloną salą operacyjną, ale zajęliśmy tylko jedno skrzydło /od strony dzisiejszej polikliniki/, gdzie przygotowaliśmy sale dla chorych. Budynek obecnej polikliniki przeznaczono na: parter – dyżurkę oficera dyżurnego, aptekę, ambulatorium i bibliotekę, pierwsze piętro – kancelarie ogólną i tajną, kancelarię żywnościową, lekarską, gabinet komendanta, biuro kwatermistrza, a poddasze dla załogi żeńskiej jako sypialnie. A dom obecnej szkoły pielęgniarskiej przeznaczono na stołówkę dla załogi, kuchnie, magazyn żywnościowy, a na piętrze kwatery dla załogi męskiej. Dom obecnej laryngologii przeznaczono na warsztaty: krawiecki, szewski, ślusarsko-hydrauliczny i pralnie. Cały teren był ogrodzony. A szpital był dla nas jak dom wielkiej rodziny, ponieważ wszyscy się dobrze znali i szanowali. Okna naszych sypialni wychodziły na wielki park-cmentarz, bogaty w rozłożyste drzewa, pachnące lipy, świerki i brzozy oraz bluszcze.

Komendantem szpitala był nadal lekarz chirurg pułkownik Jerzy Jentys, zastępcą kapitan Kazimierz Głowacki, lekarz chirurg kapitan Andrzej Świrski, lekarz oddziału wewnętrznego major Lejman i kapitan Dymitr Gucewicz – lekarz chorób zakaźnych /wykonywał też sekcje zwłok/. Był też lekarz dentysta /nazwiska nie pamiętam/ i aptekarz kapitan Zawadzki, szefem kancelarii leczniczej por. Jakubowski, a ambulatorium chor. Danuta Małkuszewska. Siostrą oddziałową oddziału zakaźnego chorąży Helena Langier. Siostrą oddziałową oddziału chirurgicznego chor. Eugenia Kosowa i kilka młodszych sióstr. W 1947 roku uczęszczałam na wykłady kursu sióstr PCK i pracowałam nadal w kancelarii, a praktykę odbywałam na oddziałach szpitala po godzinach urzędowania w biurze. Starsza siostra, przełożona oddziału chirurgicznego Eugenia Kos „wróżyła" mi dobrą przyszłość w zawodzie pielęgniarskim. Nazywano mnie siostrą z powołania.

Niestety zbliżał się okres demobilizacji – kolejna załoga odchodziła do cywila, a w tym i mój szef sierżant Wiesław Kos. Musiałam więc wrócić do kancelarii do podstawowej pracy, gdzie byłam podobno niezastąpiona. Potrafiłam zawsze spełnić rozkaz, a prace wykonywać tak, że zawsze i wszędzie byłam potrzebna. Toteż nieraz w księdze Rozkazu Dziennego Szpitala wpisywano pochwały dla mnie. Cieszyłam się ogromnie i w dwójnasób starałam się obowiązki swe wykonywać. Zbliżały się jednak chwile rozstania. Rozkazem DOW szpital został rozwiązany 30 kwietnia 1948 roku i na jego bazie zorganizowano Oficerski Dom Wypoczynkowy, gdzie pracowałam nadal, ale już w gronie nowej załogi. Poczułam się, jak nie przygotowana do samodzielnego życia po odejściu załogi szpitala. Wytrwałam jednak do końca, tj. do likwidacji Wojskowego Domu Wypoczynkowego w dniu 15 X 1948 r. Z tym że, będąc na etacie WDW, zdawałam dokumentację szpitala w Archiwum Okręgowym WP w Poznaniu. Następnie przeszłam do pracy w Komendzie „Służba Polsce" w charakterze kancelistki-maszynistki.

Myślałam jednak nadal o nauce. Szukałam więc warunków takich, w których mogłabym pracować i uczyć się, a że byłam sama, musiałam znaleźć zakład pracy, w którym była stołówka. Ponieważ w Komendzie „SP" nie było stołówki, a nauka w Liceum dla Pracujących rozpoczynała się o godz. 16-tej, często bez obiadu szłam na lekcje, które trwały do 21.30. Organizm mój wyniszczony w czasie okupacji niedługo wytrzymał taki tryb życia. Lekarz zalecił z czegoś zrezygnować. Pobyt w szpitalu i sanatoriach nie sprzyjał też nauce. Dlatego na własną prośbę odeszłam z Komendy „SP", aby zdrowie wzmocnić. Jednak w ciągu pięciu dni rozpoczęłam pracę w Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego w Zielonej Górze, gdzie była stołówka i praca dobrze mi znana. W ciągu trzech miesięcy awansowałam i otrzymałam propozycję wyjazdu na 3-miesięczny kurs do Ośrodka Pracowników Socjalnych w Łodzi. Kurs ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym. Po powrocie do zakładu czekał na mnie nowy awans – tym razem na kierownika pododdziału socjalnego. Organizowałam wycieczki krajoznawcze dla załogi i ich rodzin. Dbałam o to, aby warunki socjalno-bytowe w zakładzie były przestrzegane. A przede wszystkim przekonywałam pracowników o możliwości korzystania z udogodnień socjalnych, tj. umieszczania dzieci w żłobkach i przedszkolach oraz akcji letniej. Przełamywałam strach matek przed wysłaniem dziecka na kolonie. Starałam się dotrzeć do tych najbardziej opornych a równocześnie najbardziej potrzebujących zmiany klimatu i warunków bytowych. Poza pracą zawodową brałam udział w pracy społecznej Rady Zakładowej, gdzie wnioskowałam o zapomogi dla najbiedniejszych i rodzin wielodzietnych. Podjęłam przede wszystkim dalszą naukę w Liceum dla Pracujących przy ul. Licealnej i na placu Słowiańskim. Kochałam naukę, a najciekawsze dla mnie były: biologia, historia, język polski z poezją. W gronie licealistów miałam przyjaciół, zbieraliśmy się w moim mieszkaniu na wspólną naukę. Braliśmy też udział w zabawach szkolnych.

Znajdowałam też czas, aby odwiedzać nadal groby naszych zmarłych żołnierzy ze Szpitala Garnizonowego, tj.

por. Karola Babera,
ur. w 1923 r. – zm. 28 VI 1947 r.
st. strzelca Jana Biedowecza,
ur. w 1922 r. – zm. 16 IV 1947 r.
szer. Stanisława Olejniczaka,
ur. 22 XII 1925 r. – zm. 11 VII 1946 r.
szer. Adama Głogowskiego,
ur. w 1927 r. – zm. 15 X 1946 r.
bombardiera Jana Płochockiego,
ur. w 1922 r. – zm. 15 X 1946 r.
st. szer. Jana Zakrzewskiego,
ur. 27 VII 1922 r. – zm. 6 X 1946 r.

Wyżej wymienieni byli pochowani na cmentarzu przy ulicy Wazów, który został zlikwidowany, a ww. groby zostały przeniesione na cmentarz w Jędrzychowie. Groby się rozsypywały a drewniane krzyże niszczały, blaszane tabliczki rdzewiały. Postanowiłam wywalczyć u władz miasta odbudowę tych grobów, ale odsyłano mnie od jednej instytucji do drugiej. Wreszcie moje argumenty, że są to groby żołnierzy, którzy walczyli w obronie Ojczyzny na różnych frontach, pomogły. Groby zostały obudowane z tablicami , posadziłam na nich wieloletnie kwiaty i nadal je odwiedzam. W czerwcu 1996 roku zwróciłam się z prośbą do dyrektora Zakładu Pogrzebowego pana mgr. inż. Ferdynanda Judzińskiego o dalszą opiekę. Zainteresowałam też zielonogórskich harcerzy tymi grobami, aby nie zapomniano o tych, którzy walczyli o wolność naszej Ojczyzny. Co roku na Dzień Zmarłych stawiałam znicze przy grobach ww. żołnierzy, a w ubiegłym roku była już warta harcerzy zielonogórskich.

Helena Maria Wierzbicka

ŻYCIE I NAUKA

Ciąg dalszy wspomnień

Rok 1939 był przeze mnie bardzo oczekiwany. Właśnie we wrześniu tegoż roku miałam iść do szkoły do pierwszej klasy. Emocjonalne przygotowania były wielkim przeżyciem. Wiedziałam, że już nie będę zazdrościć starszej siostrze, ale już sama będę uczennicą z „mysimi" ogonkami, bo tylko takie miałam. Wrzesień był coraz bliżej. Wraz z innymi dziećmi wykorzystywałam czas wolny na zabawy nad płynącą w pobliżu Wisloką, wśród pachnących olch i wierzb, na pobliskiej łące ze złotymi kaczeńcami i białymi stokrotkami. Chodziłyśmy też miedzami wśród pobliskich pól błękitnych od chabrów, czerwonych od maków, białych od gryki, fioletowych od kąkoli. Beztroskim chwilom towarzyszyła myśl, żeby jak najszybciej usiąść w ławie szkolnej.

Nadszedł oczekiwany wrzesień. Zrobiło się bardzo smutno. Wybuchła wojna, weszło niemieckie wojsko, zajęło szkołę i kościół. Uczennicą byłam, ale uczyliśmy się w prywatnych domach, tam gdzie nas przyjęto. Poznałam litery i cyfry. Potrafiłam przeczytać z elementarza kilka słów. W domu mozolnie, ale wytrwale łączyłam litery w czasopiśmie „Ster", które miała moja siostra. Podobały mi się niektóre artykuły, więc kilkakrotnie je czytałam i ich treść utrwaliła mi się tak, że pamiętam je do dziś.

Pewnego dnia nastąpiła wywózka mieszkańców z naszej miejscowości do Niemiec. Musieliśmy wszystko zostawić, ze sobą mogliśmy wziąć tylko trochę drobiazgów - była wielka rozpacz. Skończyła się nauka.

Pobyt w Niemczech był bardzo trudny, poniżający godność ludzką. Po skończonej wojnie w 1945 roku z trudem wróciliśmy do Polski. Nasz dom w Brzostku w czasie naszej nieobecności zajęła gmina. Nie mieliśmy, gdzie mieszkać. Zostaliśmy skierowani na tzw. Ziemie Odzyskane. Znaleźliśmy się w Starym Kisielinie, jak wielu innych. Miejscowość ta szybko została zasiedlona. W budynkach, w których zamieszkali tu ludzie, została wywieszona kartka z napisem: „Dom zajęty przez Polaka". Po domach chodził delegat gminy i spisywał, kto w jakim domu mieszka i ile osób. Pozostawiał informację, ile należy wpłacić do gminy. Kto nie miał pieniędzy, musiał dać coś w towarze - mógł też być inwentarz. Nasza rodzina była wówczas siedmioosobowa. Pracował tylko ojciec. Czworo nas miało pójść we wrześniu do szkoły. Pracownik gminy nalegał, aby wpłacić narzuconą sumę od naszej rodziny. Mama powiedziała, że pieniądze są potrzebne na utrzymanie rodziny, a jeżeli chcą, to mogą zapisać kota, bo nic więcej nie ma. Było więcej takich rodzin jak my, więc musieliśmy odrobić to fizyczną pracą np. przy sadzeniu drzew w lesie lub pracą przy oczyszczaniu rowów. W domach zakładano nam głośniki (tzw. kołchoźniki), w których to nadawano wiadomości głównie z programu pierwszego polskiego radia.

Trzeba było brać się ze startem do roboty, żeby uporządkować dom, zagospodarować ogródek. Kościoła nie było. Stary Kisielin należał do parafii św. Jadwigi w Zielonej Górze, skąd w niedzielę i święta przyjeżdżał do nas ksiądz. Msze święte odprawiał w zwykłym budynku, gdzie gromadzili się odświętnie ubrani mieszkańcy Kisielina. Wrzesień 1945 roku zbliżał się coraz szybciej. Trzeba było czynić przygotowania do szkoły. Obcych tu już nie było, bo ten krótki kilkutygodniowy okres wystarczył na wzajemne poznanie się i wzajemne zrozumienie. Była to już tylko jedna wielka rodzina.

Budynek przeznaczony na szkołę też wymagał wkładu pracy. Nikt z mieszkańców nie żałował czasu ani siły. Wspólnie przygotowywano szkołę na rozpoczęcie roku szkolnego. Zawieszono też w klasach krzyże. Kierownikiem szkoły był młody, utalentowany pan Jakub Warchoł. Byli też nauczyciele. Ogłoszono, że będą zapisy do szkoły, do poszczególnych klas. Z naszej rodziny do tejże szkoły poszło nas czworo, później poszedł najmłodszy brat. Każda z nas trafiła do innej klasy. Jak się okazało, wielodzietnych rodzin było więcej. Zżyliśmy się szybko, mimo że byliśmy z różnych regionów Polski. Było dużo do opowiadania. Wszyscy uczyliśmy się z zapałem od pierwszego dnia. Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego zostało przygotowane już w toku nauki. Uroczystość była bardzo wzruszająca - zaproszeni zostali też rodzice. W programie były wiersze i piosenki o tematyce szkolnej, o radości przybycia do szkoły. Czas szybko mijał, zbliżała się zima, nie miał kto palić w piecach szkolnych, więc musieliśmy robić to sami. Mieliśmy dyżury, które polegały na sprzątaniu i paleniu w piecach. Żeby było cieplej w klasach, dyżurni musieli przychodzić dużo wcześniej do szkoły, żeby do godziny ósmej rano było już napalone. Ambicją dyżurnego było solidne wywiązanie się ze swego obowiązku.

Byłam bardzo zaskoczona, bo kierownik szkoły zobowiązał mnie do szybszego tempa w nauce - kazał mi robić po dwie klasy w roku. Pracy było sporo, bo trzeba było się uczyć, pomóc w domu i zawsze dano jakąś rolę

Szkielet sali gromadzkiej w Starym Kisielinie (obecnie).

do uczenia się na przedstawienia. Niektóry role pamiętam do dziś. Czas mijał szybko wypełniony obowiązkami po brzegi.

Kierownik szkoły był dobrym nauczycielem i jednocześnie dobrym organizatorem. Cieszył się wśród uczniów i rodziców autorytetem. Prócz tego, że nas uczył, organizował bogate w treści występy angażując w to uczniów, jak również rodziców. Życie kulturalne w czasie jego obecności było bardzo ożywione. Spotkania były w świetlicy gromadzkiej, która była wypełniona po brzegi widzami. Występy były o tematyce patriotycznej i okolicznościowe. Piękne i wzruszające było przedstawienie, jak Polska zrzuca kajdany i następuje błoga, szczęśliwa chwila. W tym przedstawieniu ja i młodsza siostra Maria byłyśmy dziećmi pewnej rodziny, która modliła się o to, aby zakończyła się wojna. Na tej samej scenie za kotarą była Polska i Matka Boska. W pewnym momencie rozsunęła się kotara i Matka Boska oznajmiła, że wysłuchała naszych próśb. Matką Boską była Wacława Sienkiewicz - ubrana była stosownie do swojej roli. Polską była moja siostra Helena, która miała długie rozpuszczone włosy - ubrana była w biel i czerwień. Na rękach miała spory łańcuch. Przy słowach: „Polska zrzuca dziś kajdany - wolność wam niosę" - zrzuciła z rąk „kajdany", tzn. ten łańcuch. Łańcuch z hukiem upadł na podłogę. Wzruszenie było ogromne - nie do opisania. Kierownik szkoły śpiewał piosenki i prowadził słowo wiążące. Trzecia siostra, Teresa, była Śmiercią na polu bitwy. W rogu sceny Śmierć stała na taborecie okryta prześcieradłem i miała prawdziwą kosę - była to prawdziwa śmierć. Przed Śmiercią na podłodze leżeli zabici żołnierze. Byli to chłopcy owinięci w wojskowe płaszcze. Wyglądało to tak, jakby jeden był bez ręki, inny bez obu rąk, bez nóg. Po scenie chodził chłopiec, który zapytany przez Śmierć o to, co tu robi, odpowiedział przerażony: „Szukam tatusia". Śmierć mówi: „Patrz! Przeorane to pole chwały moimi ciosy- ja go skosiłam jak kłos dojrzały ostrzem mej kosy" - dokonując przy tych słowach odpowiedni ruch kosą. Chłopiec płacze, ale nie ustępuje i dalej szuka ojca.

Zza sceny słychać śpiew kierownika: „Ach kiedyż wykłujem strudzeni oracze świat pełen pałaszów skrzywionych, ach kiedyż na Ziemi już nikt nie zapłacze, prócz rosy łąk naszych zielonych?". Nie sposób tu wszystko opisać, ale to było wielkie przeżycie - cenne szczególnie dlatego, bo to był pierwszy rok nauki od zakończenia wojny.

- Kol. Adela Sienkiewicz, siostra Wacławy, miała piękny głos, więc śpiewała solowe piosenki;

- Uczennica Helena Cyrulik - moja starsza siostra, która była na scenie Polską, po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Sulechowie, pracowała jako nauczycielka w tejże szkole w latach 1949 -1951. Zaznaczam, że uczyła swoje młodsze siostry.

Nie pamiętam, kto jeszcze brał udział w występach (imiennie). Uroczyście też był obchodzony Dzień Matki. Tutaj w tych występach moje siostry były kwiatami. Strojami zajmowałam się osobiście.

Pod koniec roku szkolnego 1945/46 zrobiło się bardzo smutno w naszej szkole, zabrakło najważniejszej osoby - kierownika szkoły Jakuba Warchoła. Nie miał nas kto uczyć pieśni, piosenek religijnych i patriotycznych, ucichły występy. Nikt nam nie chciał powiedzieć, co się stało z naszym kierownikiem szkoły. Zniknął bez śladu. Chwilowo zastępowała go jedna z nauczycielek, pani

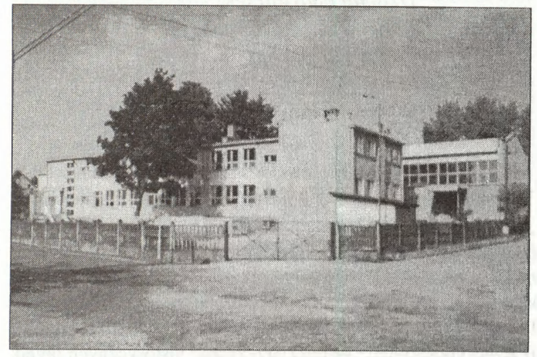

Nowa szkoła w Starym Kisielinie.

Wanda Praisner. Przyszedł nowy kierownik szkoły, pan Barański. Zaraz znikły ze ścian krzyże, nie wolno nam było śpiewać piosenek religijnych. Smutno zakończył się rok szkolny 1945/46.

W późniejszych latach też były występy i spotkania w świetlicy gromadzkiej, ale tematyka była różna. Były też prowadzone różne konkursy gastronomiczne organizowane przez organizatorów kursów gospodarstwa domowego.

Obecnie dzieci chodzą do nowo wybudowanej szkoły, której zastępcą kierownika szkoły jest syn brata mojej koleżanki z klasy, Aldonki - pan Ireneusz Nijaki. Jest też budowany nowy kościół. Wiele domów jest zmodernizowanych, wybudowanych. Od dawna nie mieszkam w Kisielinie. Gdy byłam ostatnio tutaj, z żalem spojrzałam na ruinę domu gromadzkiego, gdzie tętniło życie kulturalne, gdzie gromadzili się mieszkańcy Kisielina na rozrywkach, zebraniach. Szkoda, że tak to zostało zaniedbane, aż do kompletnej ruiny. Odwiedziłam też miejscowy cmentarz, który jest zadbany, estetyczny. Jak się dowiedziałam, kierownictwo nad cmentarzem sprawuje pani Bożena Leciej, której składam wyrazy szacunku i uznania za Jej wkład pracy.

W 1995 roku szkoła nasza obchodziła pięćdziesiątą rocznicę swojego istnienia. Uroczystość została rozpoczęta mszą świętą sprawowaną przez dwóch kapłanów, uczniów tutejszej szkoły: ks. Józefa Cyrulika i ks. Jerzego Liera.

Zofia Malinowska

Polesia czar...!

Polesia czar,
To dzikie knieje i moczary.
Polesia czar,
Tęskny to wichrów jęk.
Gdy w mroczną noc,
Z bagien wstają opary.
Serce me drży,
Dziwny ogarnia lęk.
I słyszę jak z głębi wód,
Jakaś się skarga miota.
Serca tęsknota,
Wierzy w Polesia czar.

(Piosenka przedwojenna)

Przedwojenna pieśń o Polesiu jest trafnym ujęciem specyfiki tej krainy nizinnej, położonej w dorzeczu rzeki Prypeć od wschodnich granic Polski, przez Białoruś, aż po Dniepr na Ukrainie. Jednak w świadomości obecnych starszych Polaków nazwa Polesie bardziej kojarzy się z terenami dorzecza Prypeci oraz linii kolejowej od Brześcia po wschodnią granicę II Rzeczypospolitej . Według przekazów historycznych przed IX w. Polesie zamieszkiwały słowiańskie plemiona Drehowiczów i Drewlan. Po zorganizowaniu się księstw, do Księstwa Turowskiego (miasto Turów, położone nad Prypecią). Drewlan, Drehowiczów i inne plemiona słowiańskie znad Dniepru podporządkowali sobie wschodniosłowiańscy Polanie (nie mylić z Polanami osiadłymi w Wielkopolsce i na Kujawach!) i utworzyli państwowość - Ruś Kijowską. Władca Kijowa, Włodzimierz Wielki, dzieląc w 988 r. swoje ziemie między synów, Polesie oddał najstarszemu Światopełkowi, zięciowi Bolesława Chrobrego. Wynikłe walki bratobójcze, pomimo pomocy Bolesława Chrobrego, nie oderwały Polesia spod panowania Kijowa. Dopiero wiek XIII zmienił sytuację polityczną Polesia. Najazd tatarsko-mongolski w latach 1236-1243 spowodował rozbicie Rusi Kijowskiej, a książę piński Dymitr w 1292 r. poprosił o opiekę silnego wówczas księcia litewskiego. Od 1320 r. nad całym Polesiem zapanował książę litewski Giedymin, dziad Władysława Jagiełły.

W 1385 r. w wyniku połączenia unią personalną Polski i Litwy, Polesie znalazło się pod panowaniem królów polskich - Jagiellonów, w samym centrum ich rozległego państwa, a od 1573 r. do 1795 r. pod panowaniem polskich królów elekcyjnych jako województwo brzesko-litewskie.

W latach 1793-95, po II i III rozbiorze Polski, całe Polesie zagarnęła Rosja. Po 123 latach zaborów część Polesia wróciła na prawie 20 lat do Polski (1921-1939). Po II wojnie światowej Polesie znalazło się w granicach Białoruskiej SRR, a od sierpnia 1991 r. w niezależnym państwie Białoruś, które jednak w ostatnim okresie stara się związać z Rosją.

Na przestrzeni dziejów Polesie, w zależności pod czyim było panowaniem, dzieliło losy tego państwa i podlegało narzucaniu jego woli. Około 300 lat Rusi Kijowskiej, to pewna stabilizacja i rozwój, przyjęcie alfabetu rosyjskiego, prawosławia i budowa cerkwi.

Około 400 lat panowania królów polskich, to za Jagiellonów spokój i rozwój Polesia, szczególnie miast (prawo magdeburskie) i dworów. Wyodrębniła się szlachta i magnateria wykorzystując podległe sobie stany. Powstawały dworki, pałace, a nawet zamki. Postępowała polonizacja i wypieranie prawosławia przez katolicyzm. Powstało wiele wspaniałych klasztorów i kościołów. Po unii brzeskiej w 1596 r. nasiliły się ruchy narodowościowo-wyznaniowe, szczególnie wyodrębniającego się narodu białoruskiego. Powstaje literatura w języku białoruskim.

Okres królów elekcyjnych przyniósł postępujący upadek Polski zakończony rozbiorami. Polesie podupada, gdyż do jego terenów sięgają toczące się walki. Jednak i w tych czasach byli światli mieszkańcy Polesia, którzy zrobili coś pożytecznego dla tej krainy:

- Stanisław Albert Radziwiłł, kanclerz, w 1635 r. w Pińsku wybudował potężne kolegium jezuickie, które wykształciło wielu patriotów, znanych działaczy nauki i kultury, oraz przepiękny barokowy kościół św. Stanisława. Właśnie z tego kolegium udał się w okolicę w celach misyjnych św. Andrzej Bobola i w dniu 16.05.1657 r. poniósł śmierć męczeńską z rąk kozackich;

- Adam Naruszewicz z Duboja, historyk, biskup, sekretarz Rady Nieustającej, napisał „Historię narodu polskiego";

- Michał Kazimierz Ogiński z Mołdowa, hetman, poniósł olbrzymie wydatki na cele społeczne. Z własnych środków wybudował fabrykę fajansu w Telechanach i kanał, tzw. Ogińskiego, Jasiołda - Niemen, faktycznie łączący Morze Czarne z Bałtykiem;

- Mateusz Butrymowicz z Krystynowa, postępowy działacz, sędzia grodzki, poseł na Sejm Czteroletni. Był głównym inicjatorem budowy Kanału Królewskiego, Pina-Muchawiec, który w Brześciu wpada do Bugu łączącego Polesie z Warszawą i Gdańskiem.

Okres zaborów, to okres silnej rusyfikacji Polesia, wypierania katolicyzmu i depolonizacji, a także zacierania śladów białoruskich. Nawet we współczesnej rosyjskiej książce o Pińsku przyznają, że w ciągu tych 123 lat na Polesiu podupadła kultura i rozwój gospodarczy, a Rosjanie nie zostawili po sobie ani jednej wspaniałej budowli, nawet cerkwi.

Czas zaborów to również walka o niepodległość Polski, znaczona zrywami powstańczymi i udziałem w wojnach napoleońskich. We wszystkich walny udział brali mieszkańcy Polesia.

- Tadeusz Kościuszko z Siechnowic, naczelnik powstania z 1794 r.;

- Tytus Tusławski, wyprowadził z Polesia 1000 osobowy oddział na pomoc powstańcom 1831 r.;

- Romuald Traugutt, dyktator powstania 1863 r.; a poza nimi tysiące patriotów z wszystkich stanów, którzy oddali życie w powstaniach i kazamatach lub zostali zesłańcami Sybiru czy zmuszeni do emigracji na Zachodzie. Ich majątki car konfiskował i sprzedawał Rosjanom.

Do pozytywów tego okresu należy zaliczyć zniesienie pańszczyzny w 1861 r. i około 1880 roku wybudowanie poleskiej kolei żelaznej. Do dzisiaj są tylko te dwie linie kolejowe przecinające się w Łunińcu. Zachód-wschód z Brześcia do Kalinkowicz i północ-południe z Baranowicz do Sarn. Na przełomie XIX i XX w. zaczyna rozwijać się przemysł i następuje pewna poprawa sytuacji gospodarczej. Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował, że znaczna część ludności uciekła przed Niemcami w głąb Rosji, jak również wojna polsko-bolszewicka spowodowała, że Polesie kilkakrotnie przechodzi z rąk do rąk powodując znaczne spustoszenia. Ostatecznie na mocy układu ryskiego w marcu 1921 r. znaczna część Polesia pozostaje w Polsce, jako województwo poleskie ze stolicą w Brześciu.

Początkowy okres 20-lecia to odbudowa po zniszczeniach wojennych i tworzenie II Rzeczypospolitej po 123 latach niewoli. Majątki, które nie miały spadkobierców, podlegały parcelacji i osadnictwu, szczególnie wojskowych. Ułatwiło to dalszą polonizację Polesia, które było tyglem narodowościowym, szczególnie w miastach, gdzie zdarzało się, że ponad połowa mieszkańców była wyznania mojżeszowego. Bardzo często niedaleko siebie stały kościół, cerkiew i synagoga. Nie było nawoływań do tolerancji, ale ludzie wiedzieli, że są skazani na współżycie ze sobą i układało się to nie najgorzej. Było dużo małżeństw mieszanych, w których małżonkowie byli z siostrzanych religii chrześcijańskich.

Największy spokój w sprawach narodowościowych wykazywali Poleszucy z dziada-pradziada, którzy uważali, że są Poleszukami, a nie Polakami, Białorusinami czy Ukraińcami, chociaż w wyniku zawłaszczenia Polesia przez te narody do dziś Poleszucy na wsiach używają przejściowego dialektu między językami tych trzech narodów.

Przedwojenne Polesie to, niestety, Polska nawet nie „B", a raczej „C", zacofana, bez większego przemysłu, a jednak była to kraina szczęśliwa. Ludzie żyli biednie, ale z godnością, kultywowali swe odwieczne zwyczaje. Może wpływ na to miała przyroda, leniwie płynące rzeki pełne ryby wszelakiej, bagienne roztocza pełne ptactwa i lasy pełne jagód, grzybów i orzechów laskowych (niestety wstęp do niektórych lasów bywał odpłatny). Uprawa ziemi była mało zmechanizowana; konie, kosy sierpy i cepy - to podstawowe narzędzia. Transport był konny (wozy, sanie), a latem przeważnie wodny, parostatki rejsowe i różnego rodzaju łódki. Wiosło, łapcie, słomiany kapelusz - to symbole Poleszuka.

Dorzecza Prypeci były tak rozległe, że w Pińsku była jedyna w Polsce jednostka wojskowa - Rzeczna Marynarka Wojenna posiadająca uzbrojone statki i kanonierki.

„Poleszuk z wiosłem" - rzeźba na Poleskiej Wystawie Gospodarczej, Pińsk 1937 r. Osoby - Jerzy Gruszewski z siostrą Marią i bratową Anną (Czeszką).

Wybuch II wojny światowej, a szczególnie 17 września 1939 r., rozpoczął pasmo cierpień, ostrej rusyfikacji i komunizacji, wywózek na Sybir i w stepy Kazachstanu. Gdy w 1941 r. myślano, że Niemcy to wróg bardziej cywilizowany, szybko się przekonano, że hitleryzm nie lepszy od komunizmu- łapanki i wywóz na roboty przymusowe, egzekucje publiczne, pacyfikacja wsi, a nade wszystko holocaust, dokonywany w okolicznych terenach, i biorąc pod uwagę ilość mieszkańców Polesia narodowości żydowskiej, był czymś niewyobrażalnie strasznym.

Gdy po II wojnie światowej, w wyniku układów w Jałcie i Poczdamie nastąpiło masowe przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski, wyjechali i Poleszucy. Wyjechali ci, którzy czuli się Polakami lub chociażby obywatelami państwa polskiego albo tylko nie chcieli być obywatelami ZSRR.

Wielu z nich przybyło na Ziemię Lubuską. Początkowo niezbyt akceptowani przez Polaków z innych dzielnic, ale Poleszucy są twardzi, zostali i obecnie są Lubuszanami. A gdy poznali bliżej historię Ziemi Lubuskiej, to okazało się, że jest podobna do poleskiej. Te ziemie też zawłaszczały na zmianę trzy narody: Polacy, Czesi i Niemcy. Taki to los pogranicza.

Obecnie odwiedzane strony rodzinne, to już nie to Polesie z dzieciństwa i wspomnień. 50 lat bardziej rusyfikacji niż białorusyfikacji, industrializacja, komunizacja, sowchozy i kołchozy odcisnęły swe piętno na duszy Poleszuka. A osuszanie błot okaleczyło koryta rzek, które raz wybuchają powodzią, to znów ich poziom tak spada, że studnie też są bez wody. Próby łamania praw przyrody przez obłędne ideologie skazane są na niepowodzenia, czego doświadczyło wiele społeczeństw. Tylko dla tych, którzy potrafią uszanować jej rytm i prawa, przyroda pozostaje łaskawa.

Obecnie to zrozumiano i są próby naprawy, np. ekologicznej budowy Kanału Ogińskiego.

Wraz z „pierestorjką" za naszą wschodnią granicą, rozpoczęły się różne dążenia do odrodzenia narodowego. Jeszcze w 1988 r. powstało niewielkie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne, założone przez M. Szelahowicza pod nazwą „Poliśsie" na rzecz uznania odrębnego narodu poleskiego, który miałby się wywodzić od Jaćwingów, ludu prusko-litewskiego, zamieszkałego okolice między jeziorami Mamry i Śniardwy, rzekę Biebrzę i zakolem Niemna, a który uciekł przed Krzyżakami na Polesie. Z historii wiemy, że Jaćwingowie pod koniec XIII w. zostali podbici i wyniszczeni przez Krzyżaków, a jaka część tego ludu uciekła na Polesie, ciekawy temat dla historyków. Jeszcze w 1992 r. „Poliśsie" upominało się w sprawie odrodzenia zachodniopoleskiego (region brzesko-piński), ale ostatnio o nim nie słychać.

Odrębnym zagadnieniem jest wystąpienie sporu białoruskoukraińskiego o Polesie, zakończonego podpisaniem majowego traktatu granicznego. Jest to pierwszy taki traktat zawarty między państwami, członkami Wspólnoty Niepodległych Państw.

Istniejącą sytuację polityczną na Białorusi obserwujemy z uwagą, gdyż my Polacy nie możemy myśleć „byle nasza wieś spokojna". Niepodległość i suwerenność państw naszych sąsiadów - Litwy, Białorusi i Ukrainy - to także nasza Polska racja stanu.

A niepodległa, suwerenna, wewnętrznie uporządkowana i zasobna Białoruś, to dla nas byłych Poleszuków, a obecnie Lubuszan, nadzieja, że - być może - gdy nasi wnukowie będą zwiedzali rodzinne strony swoich dziadków, też poznają i zrozumieją Polesia czar!

Jadwiga Kolibabka

Literatura m. in.:
Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, Roman Aftanazy, Ossolineum 1992.
Przewodnik po Pińsku, w języku rosyjskim, Wiesław Makawczuk, 1993.

Jerzy Gruszewski, ur. w 1916 r., to pionier Zielonej Góry, Poleszuk-Lubuszanin. W lipcu 1945 r. przyjechał z rodziną do Zielonej Góry z Pińska, mieszkał na ul. Sobieskiego, pracował jako księgowy, gł. księgowy, dyrektor. Zmarł w kwietniu 1997 r. Pochowany na Chynowie.

DOM

Mimo swoich 80 lat p. Helena Piłat czuje się jeszcze bardzo dobrze i imponuje doskonałą pamięcią. Kiedy rozmawialiśmy, pełniła właśnie dyżur w Sali Wspomnień Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry w zielonogórskim ratuszu.

Przed ponad pięćdziesięciu laty w Sarnach, na dawnych kresach RP, z niepokojem myśleli o przyszłości. Mimo iż można było już wierzyć w koniec wojny, tutaj było nadal gorąco. Nacjonaliści ukraińscy występowali wrogo wobec Polaków. Doszło do tego, że przy pomocy specjalnych plakatów i komunikatów wzywali ich do wyjazdu do Polski. Wokół miasta płonęły okoliczne wsie.

W takiej sytuacji w Wielkanoc 1945 r. specjalny kolejowy transport przesiedleńców wyjechał do Polski. Byli w nim także p. Piłatowie, tzn. mąż p. Heleny p. Tomasz Piłat i pięcioletnia ich córka Izabella. Kolejne etapy ich podróży stanowiły Warszawa – Zbąszyń – Nowy Tomyśl, co trwało sporo czasu, aby 16 lipca 1945 r. dotrzeć do Zielonej Góry. Było to związane z dużymi przeżyciami p. Heleny. Była już w wysoko zaawansowanej ciąży. Całe szczęście, że jej mąż p. Tomasz Piłat był wcześniej w Zielonej Górze i wynalazł domek przy ul. Dąbrówki, tam gdzie teraz ul. Zjednoczenia. Miała więc gdzie p. Helena rodzić, znalazła się też niemiecka akuszerka.

Tadeusz Piłat urodził się 18 lipca 1945 r., kiedy jego mama miała 25 lat. W zielonogórskim ratuszu **został zarejestrowany w Księdze Urodzin pod nr 1**. Był to fakt historyczny, o którym do dzisiaj się pamięta. Pamięta jeszcze p. Helena, że odebrała w ratuszu trzy komplety wyprawki dla synka, pewnie jeszcze z zasobów niemieckich.

Jak anegdota brzmi dziś opowieść p. Heleny o tym, co się wkrótce po tych urodzinach wydarzyło. W budynku zajmowanym obecnie przez ss. Elżbietanki przy pl. Wielkopolskim mieścił się wtedy szpital żołnierzy radzieckich. Kilku z nich, lżej rannych, trafiło do domu p. Heleny. Widząc, że jest tu małe dziecko, wkrótce dostarczyli jej parę kg cukru i kilkanaście kg kaszki manny. Na zdrowie! Podobno jest taki zwyczaj w Rosji, że w odwiedziny do młodej kobiety, która urodziła dziecko, przynosi się praktyczny prezent...

15.09.1945 r. w obecności wojewody poznańskiego Widy-Wirskiego odbył się chrzest małego Tadeusza w kościele św. Jadwigi. W jego imieniu rodzice odebrali z rąk wojewody dyplom i 2000 zł.

Tadeusz rósł na tej kaszce i na kozim mleku /kozę odstąpił sąsiad Niemiec, który wyjeżdżał za Odrę/ zdrowo i kiedy odwiedziła dom p. Piłatów red. Irena Kubicka, miał już 10 lat, co opisała w 1955 r. w „Gazecie Zielonogórskiej". Piłatowie czuli się tak w zielonogórskim domu, jakby mieszkali w nim od dawna. Rodzina powiększyła się o jeszcze jedną córkę – Dorotę. Miała się więc czym zajmować p. Helena, tym bardziej, że przed domem był spory ogródek.

Tomasz Piłat, z zawodu tokarz precyzyjny ze stażem w lwowskich PZL i nauczyciel zawodu, przez jakiś czas prowadził warsztat naprawy samochodów, a później przez wiele lat pracował w Zespole Szkół Zawodowych przy ul. Bema w Zielonej Górze. Był znanym i lubianym nauczycielem. Niestety od 13 lat już nie żyje.

Ze szczególną jednak miłością i dumą p. Helena mówi o synu Tadeuszu. Uczył się dobrze, nie sprawiał żadnych kłopotów. Jako absolwent Technikum Mechanicznego wybrał Wojskową Akademię Techniczną. Ukończył ją z wyróżnieniem i w stopniu kapitana. Dziś już jako pułkownik jest wykładowcą w Oficerskiej Wyższej Szkole Samochodowej w Pile. Ma dwoje dzieci, które zdążyły już ukończyć studia wyższe. Syn politechnikę, córka ekonomię.

Wielkie święto jest w domu p. Heleny, kiedy odwiedzają ją dzieci, a wśród nich 6 wnuków i 3 prawnuków. Nie zmarnowała życia. Kiedy czasem wraca myślami do tamtego domu w Sarnach, który był kiedyś domem szczęśliwym i który musiała opuścić, pociesza ją myśl, że i tu w Zielonej Górze udało się jej stworzyć dom, w którym szczęście nie jest rzadkim gościem. Może dlatego właśnie dożyła w dobrej kondycji 80 lat?

Wiesław Nodzyński

Młode małżeństwo Piłatów. 20 VIII 1939 r.

POWOJENNI OGRODNICY

Dziś idziemy do kwiaciarni i tylko kupujemy wiązanki, po warzywa idzie się na rynek albo do warzywniaka. Minęły te czasy, gdy były róże były od Stelleckiego, pomidory od Jaworowskiego, a rozsady od Piotrowskiego. Zielona Góra przestała być miastem ogrodów i winnic.

Większość ogrodników zielonogórskich przyjechała do miasta w pierwszych dwóch latach po wojnie i zajmowali ogrodnictwa już działające w Grunbergu. A było ich niemało. Na niespełna 20-tysięczną Zieloną Górę powyżej 10.

Jak w raju

Większość z nich rozmieszczona była w obecnym centrum miasta. Jeśli dodamy do tego dzisiejsze np. osiedle Przyjaźni zajęte pod winnice, ul. Dzierżyńskiego i os. Braniborskie pod ogrody, które otaczały też większość domów i kamienic, to obraz miasta jawi się zupełnie inny. W domowych ogrodach rosły poniemieckie morele, mnóstwo brzoskwiń, obowiązkowo na ścianie domu pięła się winorośl. Nie brakowało upraw dyń i kawonów.

Myślałam, że jestem w raju – wspominają niektórzy pionierzy swój przyjazd do Zielonej Góry późną wiosną 1945 roku. Bo miasto było wtedy rzeczywiście zielone. Dziś na ówczesnych skwerach leży bruk, dawnych drzew pozostało niewiele, a na ogrodach i winnicach wybudowano potrzebne, ale brzydkie osiedla mieszkaniowe.

Zamiast pól różanych przy ul. Bema teraz tylko ugór. W miejscu obecnego dworca PKS było ogrodnictwo pana Naleja. Dziś trudno sobie wyobrazić, że budynek Centrum Biznesu stoi na dawnych winnicach. Winne krzewy jeszcze w latach 70. pięły się na dzisiejszym osiedlu Przyjaźni. Niewielu młodych zielonogórzan zna charakterystyczny, nieco cierpki smak fioletowych winogron.

Obecny plac Bohaterów stworzony na potrzeby socjalistycznych uroczystości był jeszcze na początku lat 60. bogato ukwieconym skwerem obrośniętym dorodnymi wierzbami płaczącymi. Ówczesne władze żądne rozbudowy i nowoczesności w mieście nie słuchały ogrodników, że wierzba nie wytrzyma oblania betonem. Drzewa obumarły i trzeba było je wyciąć.

Pomidory od Jaworowskiego

Dawne ogrodnictwa zielonogórskie nie znały specjalizacji, choć przeważały w nich kwiaty. Miało to wytłumaczenie ekonomiczne, bo na tym się przede wszystkim zarabiało, ale i sentymentalne, po prostu ogrodnicy kochali kwiaty i pomiatali warzywami. A tych w mieście brakowało. W „Gazecie Zielonogórskiej" z 1953 r. autor jednej z notatek bardzo ganił ogrodników za tę miłość i proponował nawet sadzić pomidory na balkonie. I tak wielu mieszkańców wtedy robiło.

Ogrodnik mógł przez wiele lat socjalizmu handlować tylko tym, co sam wyhodował. Mieszkańcy robili zakupy wprost u nich. Tam kupowali rozsady warzyw i kwiatów. Bukiety zamawiali w kwiaciarniach, które kilku ogrodników prowadziło nawet w centrum miasta.

Po rozsady pomidorów do przydomowych ogródków powojenne gospodynie domowe chodziły do Stanisława Jaworowskiego. Była w nich dziwna tajemnica, bo właśnie z nich, jak wieść niosła wyrastały najlepsze. Ogrodnik Jaworowski zajął się tą profesją z konieczności utrzymania rodziny, ale uprawa nie była mu obca, bo pozostawił na Litwie majątek rodzinny pod Kownem. Do Zielonej Góry przyjechał mając 61 lat już w grudniu 1945 roku. Rok później wprowadził się do domu przy obecnie ul. Bema, wtedy Artyleryjskiej. Po niemieckim właścicielu Teichercie pozostała tam szkółka drzew i sadzonek. – Teść wiedział, że na tym nie zarobi – mówi dziś Alicja Jaworowska, synowa, która po śmierci pana Stanisława od 1964 roku prowadziła wraz z mężem Mieczysławem Jaworowskim ogrodnictwo. – dlatego przygotowywał rozsady, uprawiał warzywa, dużo ogórków i pomidorów. Mimo że nie był ogrodnikiem z zamiłowania, to zyskał wiernych klientów i miał ich uznanie.

Jaworowski w okolicy Wagmostawu, gdzie dziś stoją wieżowce przy ul. Curie-Skłodowskiej, uprawiał żyto i owies dla konia, bo nim dowoził warzywa na targ.

Choć wielu klientów wtedy chodziło po towar wprost do ogrodnictwa.

Komuna w rabatach

– Komuna miała pieniądze na kwiaty – wspomina dziś Stanisław Kosicki, ogrodnik ze Strzeleckiej. Od dwóch lat ogrodnictwo nie działa, szklarnie są rozebrane. Domy wybudowały tam dzieci Kosickiego. – Zakłady pracy, przedszkola i szkoły zamawiały hurtowo setki kwiatów na rabaty i święta – ciągnie Stanisław Kosicki. Sprzedawał pelargonie, petunie, zapomnianą dziś szałwię. Na pogrzeby dobrze schodziły też już dziś rzadkie kalie, ale fundusz ogrodniczy stawiało na nogi święto Kobiet. Każda kobieta musiała przecież wtedy dostać kwiatek. – Już na dwa tygodnie wcześniej dostawałem zamówienie – mówi Kosicki. – Podobnie było przed świętem narodowym albo np. duży utarg był też na Jana i Janiny. Po kwiaty do przystrojenia kościoła przychodziły też siostry zakonne, połowę dostawały za darmo, za resztę płaciły.

Wieńce też robił dwa-trzy dziennie. Nikt wtedy nie handlował kwiatami przed cmentarzem, to był zarobek ogrodnika. Bukiety od Kosickiego można było zamówić w jego kwiaciarni przy ul. Jedności. Stoi do dziś i wkrótce ma znów, po krótkiej zamianie na butik z odzieżą, zacząć działać.

Dziś restauracje przystrojone są sztuczną zielenią, bo taniej. Jeszcze do niedawna zamawiały bukiety u ogrodników.

Na Wielkanoc hodowało się niskie hiacynty o specyficznym zapachu, które ozdabiały świąteczne stoły.

Specjalnym momentem w życiu ogrodników był Dzień Zmarłych. Wcześniej dużo pracy przy hodowli chryzantem, ale i duży zarobek.

Na dożynki do Śledzia

– To właśnie po Wszystkich świętych ogrodnicy organizowali ogrodnicze dożynki – mówi Anna Fiedorowicz, córka Tadeusza Piotrowskiego, który prowadził od 1945 roku ogrodnictwo przy ul. Podgórnej 33. Zmarł tej wiosny. – Na sprzedaży chryzantem zarabiali najwięcej i potem spotykali się, żeby świętować. Ojciec chodził do Naleja, Zarembskiego i jeździł do Śledzia do Czerwieńska.

Chryzantemy i fiołki alpejskie były ulubionymi kwiatami Tadeusza Piotrowskiego. Dzieci nieraz miały do niego pretensje, dlaczego młodą marchew jedzą dopiero w lipcu, a pan Piotrowski warzyw nie lubił i hodował tylko to co konieczne, aby oddać do spółdzielni w zamian za węgiel.

Dziś, gdy córka przegląda pisma fachowe ojca, są w nich zakreślone informacje tylko o chryzantemach i fiołkach. Zielonogórzanie kupowali kwiaty wprost w ogrodnictwie Piotrowskiego, a do 1951 r. przychodzili także do kwiaciarni „Mimoza" przy ul. Żeromskiego, w miejscu, gdzie teraz jest księgarnia. – Ojciec był bardzo towarzyski, przetrzymywał klientów na pogaduszki – mówi córka. – Do kwiaciarni wpadali okoliczni restauratorzy na rozmowy i na bombkę, jak mówił tata, czyli kieliszek wódki.

Ogrodnicy spotykali się najczęściej w niedzielę u siebie albo w tygodniu w siedzibie Związku Ogrodników Polskich przy al. Niepodległości.

Święto ogórka

Ważni goście pierwszego starosty zielongórskiego Jana Klementowskiego długo pamiętali oryginalne przyjęcie u ogrodnika Teodora Stelleckiego. Po przyjeździe w 1945 roku do miasta dostał ogrodnictwo przy ul. Boh. Westerplatte, która wtedy była Topolową. Do dziś rosną jeszcze przy postoju posadzone przez niego topole. Ogrodnictwo sięgało od obecnego postoju taksówek aż po „Hermes". – Ojciec był człowiekiem z fantazją – wspomina go córka Maria Gołębiowska, dziś pionierka. – Powtarzał, jak jest dobra zabawa, to i praca lepiej idzie. Nie dał się długo namawiać przez Klementowskiego na przygotowanie przyjęcia.

Zebrał świeże ogórki i przystrojone kwiatami ułożył w kształcie węża na półmiskach wzdłuż stołu. Do tego pokroił czarny chleb w grube pajdy, postawił najgorszą wódkę i szklanki. Dostojnicy z Warszawy mocno zdziwieni zasiedli, wódkę pili i zagryzali chlebem i ogórkami. Jak już pojedli i popili, Teodor Stellecki udał roztargnienie: – Ach, przecież jeszcze jest poczęstunek. I wtedy przedstawił rodzinę, a na stół wjechały pieczone kurczaki, mięsa i wędliny. Goście byli zachwyceni.

Równie przyjemnie czas spędzało się u Stelleckiego na święcie fiołków. Po poczęstunku przy stole przybranym kwiatami fiołków, tańcach przy patefonie i śpiewie z gitarą towarzystwo szło oglądać wschód słońca na zrujnowany teraz Wagmostaw.

Zielonogórska bawełna

Mimo że w Zielonej Górze ogrodnictwa były średniej wielkości, ich właściciele mieli się czym pochwalić. Pierwsza wystawa odbyła się przy ul. Batorego już 23 września 1946 r. Następna rok później. – Nie było specjalizacji w uprawach – opowiada ogrodnik Stanisław Kosicki – ale każdy przynosił to, co hodował.

W budynku Wojewódzkiej Rady Narodowej były też wystawy róż. – Do dziś mam dyplomy, które ojciec wtedy dostawał za swoje ukochane kwiaty – wspomina Maria Gołębiowska. – Hodował ponad 300 odmian. Wyjątkowe ścinał i chował w wiadrze do piwnicy, żeby dłużej cieszyć nimi oko.

Dyplomy z tych czasów skromne, ręcznie malowane, ale dawały satysfakcję. Na nagrody pieniężne można było liczyć za wyjątkowe uprawy. Teodor Stellecki w 1953 roku otrzymał 300 zł nagrody od Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Puławach za wyhodowanie w Zielonej Górze krzewów bawełny. Wtedy 300 zł to była wartość dwóch ton węgla i życia przez miesiąc. Stellecki uprawiał unikalne odmiany kaktusów, sadził też sporo kawonów i dyń. Zamiłowanie do eksperymentów podsyciły w nim studia, które jeszcze w zaborze rosyjskim zaczynał w Warszawie, a kończył na Politechnice Aleksandra II w Kijowie. Do rewolucji pracował w rosyjskim ministerstwie rolnictwa, potem prowadził ogród i sady w majątku matki pod Brześciem.

Tulipany na Barbary

- Nie wiem dlaczego dziś ogrodnicy zapomnieli o niektórych odmianach róż – mówi Alicja Jaworowska, która z mężem zamiast warzyw zaczęła hodować kwiaty, najpierw przez długie lata róże, potem tulipany. – Np. taka Carina, piękny różowy kwiat, pachnący, w dobrych warunkach może stać w wazonie miesiąc. Idealny do transportu.

Pani Alicja lubiła też fioletową Mainzer Fastnacht i Wschodzące Słońce Polinezji. Oboje z mężem pokończyli kursy ogrodnicze, aby przejąć spadek po panu Stanisławie. Mąż z zawodu inżynier od urządzeń sanitarnych stał się więc sadownikiem, kwiaciarzem i poznał warzywnictwo. Żona Alicja z zawodu ekonomista, jest także kwiaciarzem. – Mąż opracował m.in. metodę uprawy róż w kontenerach. Wtedy można je sprzedawać do sadzenia cały rok – wspomina pani Alicja. – teraz to normalne, wtedy nikt tego nie robił. Ale pomysł chłodzenia cebulek tulipanów wprowadziliśmy my sami.

Cebulki chłodzi się przez cztery tygodnie, to im zastępuje zimę i potem wsadza do ziemi. – W ten sposób 4 grudnia były już tulipany – mówi Alicja Jaworowska. – Mieliśmy dużo odbiorców, zwłaszcza w Szczecinie.

Chłodzeniem cebulek zajęli się już u schyłku lat 80. Po różach nie było już śladu. Ogród różany poszedł pod budowę hali widowiskowej. Hala nigdy nie powstała, a róże przepadły.

I wjechały buldożery

Ogrodnictwo Piotrowskiego choć niewielkie okazało się na początku lat 70. zbyt duże wobec potrzeb mieszkaniowych. Część ziemi miasto wykupiło pod dwa wieżowce. Wtedy ogrodnik posadził wokół posesji trochę drzew owocowych, wcześniej dawały zbędny dla upraw cień. Mimo zielonej ściany odgradzającej ogród od sąsiednich bloków, ich mieszkańcy są uciążliwym towarzystwem. Nagminnie tłuką bateriami szkło w szklarniach, do ogrodu wrzucają śmieci, stare garnki i zepsute jedzenie. – W tym roku postawił nas na nogi wieczorem huk – opowiada Anna Fiedorowicz. – W ogrodzie znaleźliśmy starą pralkę i telewizor.

Zniszczenia swojego ogrodnictwa pod koniec 1969 roku nie przeżył Teodor Stellecki. Rodzina straciła piękną willę, a on swoje życie, czyli kwiaty. Wyhodowana przez niego agawa zdobiła skwer na obecnym placu Bohaterów. Część kaktusów trafiła do „Palmiarni". – Ojciec prosił, aby nie niszczyć kwiatów, rozdać przedszkolom – wspomina córka – ale nikt go nie słuchał. Ogrodzono płotem szklarnie, wjechały spychacze i wszystko zniszczyły. Ojciec dwa tygodnie potem dostał wylewu i zmarł.

Ogrodnictwa

W artykule pisałam tylko o niektórych, nie dlatego, że Ci akurat są wyjątkowi, ale dlatego, aby oddać atmosferę dawnych lat, bo dzisiejsze ogrodnictwa są już zupełnie inne. I ludzie też się zmienili. Adresy i nazwiska ogrodników udostępniła mi pani Maria Gołębiowska, za co serdecznie dziękuję.

ul. Bema – ogrodnik Jaworowski
ul. Krośnieńska – ogrodnik Jarochowski
al. Niepodległości – ogrodnik Żurawski
ul. Krakusa – ogrodnik Zarębski
ul. Chopina – ogrodnik Nalej
ul. Kazimierza Wielkiego – ogrodnik Kuleczka
ul. Podgórna – ogrodnik Szynkarek
ul. Podgórna – ogrodnik Piotrowski
ul. Jaskółcza – ogrodnik Bodys
ul. Sienkiewicza – ogrodnik Wysocki
ul. Wiśniowa – ogrodnik Kostecki
ul. Boh. Westerplatte – ogrodnik Stellecki
ul. Foluszowa – ogrodnik Henkel

Agnieszka Stawiarska

„Piwobranie"?

Z tradycyjnym wrześnowym winobraniem zbiegły się obchody 125-lecia zielonogórskiego browaru. Tak więc pełnym dzbanom wina na miejskim deptaku nasi dzielni piwowarzy próbowali przeciwstawić pełne kufle rodzimego chmielnego napoju. Towarzyszyła temu zorganizowana w Sali Wspomnień SPZG w Ratuszu wystawa, poświęcona tradycji i współczesności zielonogórskich zakładów piwowarskich. Jej szczególną ozdobą były wspaniałe, artystyczne kufle ze zbiorów członka Komisji Historycznej SPZG, pana Stanisława Prałata. Konsumując z takich naczyń, wielu entuzjastów winobrania zamieniło by je pewnie na... „piwobranie"!

Sprostowanie

W zamieszczonym w poprzednim numerze „Pionierów" artykule Zenona Łukaszewicza pt. „Wokół przesiedleńczych tematów" znalazła się niestety spora ilość błędów; m.in. zamiast słowa *cezura* znalazło się *cenzura*, zamiast *duchowego - duchownego*, zamiast *teleologicznego - teologicznego*. Autora i Czytelników przepraszamy.

WNUKI PIONIERÓW

...PO WAKACJACH

Językowe wakacje

Będąc uczennicą Zespołu Szkół Ekologicznych w Zielonej Górze skorzystałam z wakacyjnej oferty mojej szkoły i w zeszłym roku pojechałam na polsko-niemiecko-francuski obóz językowy do Bogenz koło Cottbus. Był to pierwszy z trzech etapów trójobozu, który co roku odbywa się w jednym z trzech krajów, z których pochodzą jego uczestnicy.

Z racji tego, że tegoroczny obóz przygotowywany był przez stronę polską, odbywał się w Polsce, w Łagowie Lubuskim. Rzecz oczywista, że każde państwo chce pokazać się z jak najlepszej strony i wcale się nie dziwię polskim organizatorom, że na miejsce obozu wybrali tę miejscowość. Łagów Lubuski jest położony między dwoma pięknymi, rozległymi jeziorami: Trześniowskim (186 ha) i Łagowskim (83 ha) i otoczony pięknymi krajobrazowo lasami o wyjątkowych walorach przyrodniczych. Miejscowość ta jest idealnym miejscem na wypoczynek, gdyż obok wielu miejsc biwakowych, strzeżonych kąpielisk, zabytków, posiada też wiele naturalnych atrakcji. Obok jezior pełnych ryb są tu lasy pełne grzybów i jagód, a te otaczające jeziora objęte są rezerwatem przyrody. Mój obóz rozpoczął się 14 lipca i już w pierwszych dniach Łagów bardzo spodobał się wszystkim uczestnikom. Obóz był bardzo różnorodny i, obok integracji młodzieży z trzech państw, miał na celu zapoznanie (głównie obcokrajowców) z krajobrazami, zabytkami i kulturą Polski. Stąd nie oddawaliśmy się tylko lokalnym atrakcjom, tj. międzynarodowym rozrywkom sportowym, pływaniu na sprzęcie wodnym, kąpielom wodnym i słonecznym, ale także mieliśmy wiele wspólnych zajęć integracyjnych (m.in. budowanie mostów przyjaźni polsko-niemiecko-francuskiej) oraz wyjazdów w celach poznawczych. Zwiedzanie okolic rozpoczęliśmy od naszego podwórka, czyli od Łagowa, niegdyś nazywanego najmniejszym miasteczkiem w Europie. Byliśmy m.in. na wieży obronnej (35 m wysokości) zbudowanej przez członków rycerskiego zakonu joanitów, dla których Łagów był siedzibą już od 1347 r. Podziwialiśmy też bramy łagowskie oraz dość dobrze zachowane fragmenty murów obronnych. Już podczas zwiedzania Łagowa nasza grupa była atrakcją dla mieszkańców i turystów, gdyż wśród naszych szeregów nie brakowało śniadych Arabów i Murzynów, którzy stali się atrakcją. Niestety niejednokrotnie zdarzały się też objawy nietolerancji lub niegrzeczne zaczepki. Mimo tych incydentów, Francuzów nie opuszczały humory i zwariowane pomysły. Pływając raz po jeziorze rowerami i kajakami urządzili sobie mokrą wojnę (kto kogo bardziej ochłapie). Zabawa była przednia, a wszyscy mokrzy jak po kąpieli w ubraniach, szkoda tylko, że jeden z Francuzów „zostawił" okulary na dnie jeziora. Od tej chwili aż do końca obozu nazywany był przez wszystkich Nietoperzem lub Batmanem. Innym znów razem nasi zabawni Francuzi zaczęli wrzucać do jeziora najpierw siebie nawzajem, potem resztę obozowiczów, a na koniec Bogu ducha winnych wczasowiczów znajdujących się „pod ręką". Nie tylko Francuzi płatali figle. Jednego razu nasz wychowawca znalazł swojego malucha pięknie opakowanego w papier toaletowy, ale kwestię sprawców tego wydarzenia przemilczę.

Wśród wielu wycieczek odwiedziliśmy m.in. MRU, Poznań, gdzie obcokrajowcy poczynili większe zakupy, Żary, Paradyż i Zieloną Górę, gdzie spotkaliśmy się z z-cą prezydenta miasta M. Łapanowskim oraz odwiedziliśmy Salę Wspomnień. We wszystkich zwiedzanych miastach i miasteczkach oglądaliśmy wiele zabytkowych miejsc i budowli oraz poznawaliśmy ich historię. Myślę, że każdy z uczestników tego obozu odjechał do domu zadowolony i wypoczęty, niejednokrotnie ściskając w ręku adres nowo poznanej koleżanki, kolegi, przyjaciela. Za rok na obozie, tym razem już we Francji, będzie co wspominać.

Karolina Bazydło

Letnia praca i wypoczynek

Nie mogę narzekać na brak zajęć w czasie wakacji i ogólnie zaliczam je do udanych.

W połowie lipca wyjechałem na Pojezierze Drawskie, do Złocieńca. Złocieniec sam w sobie to małe, lecz schludne i zadbane miasto, malowniczo położone wśród jezior. Niestety, oprócz kąpieli w jeziorze, tudzież przechadzek po rynku, nie ma tu nic, czym mógłbym zagospodarować wolny czas. Robiłem więc sobie wycieczki w okolice i odwiedziłem pobliski Czaplinek oraz Stare Drawsko. Czaplinek, podobnie jak Złocieniec, jest położony wśród jezior. Ma ładny deptak z rynkiem i dwa zabytkowe kościoły, z których jeden- gotycki- zwiedziłem, wziąwszy uprzednio wielki klucz do jego drzwi z pobliskiej plebani. Stare Drawsko natomiast może się poszczycić okazałymi ruinami zamku joannitów. Zamek nazywa się Drahim i niegdyś służył braciom zakonnym jako mennica. Po powrocie ze Złocieńca pracowałem dwa tygodnie w Caritasie pomagając przy rozdziale darów dla powodzian, a następnie, już w sierpniu, wraz z przyjacielem pojechałem na dwa i pół tygodnia na Kaszuby, na wykopaliska. Żeby było ciekawiej, wzięliśmy ze sobą rowery, aby na miejscu trochę pozwiedzać. Mieliśmy też namiot. Wykopaliska w Babim Dole niedaleko Kartuz prowadzone są już szesnasty sezon i wciąż odkrywane są nowe świadectwa kultury materialnej Gotów, gdyż to pozostałości po nich są tu eksplorowane. Znajdujące się tu kurhany, kręgi kamienne, to cmentarzysko gotyckie z II w. n.e. W tym sezonie zostały odkopane dwa paleniska z resztkami nadpalonego węgla i glinianych naczyń. Nasza praca polegała przeważnie na kopaniu rowów oraz przesiewaniu przez sita tych partii gruntu, w których mogły się znaleźć jakieś obiekty. Nasz dzień „roboczy" zaczynał się o godz. 6.30 ogólną pobudką przeprowadzaną osobiście przez kierownika badań prof. Mączyńską. Potem wszyscy (ok. 30 osób) zasiadali do śniadania przygotowanego uprzednio przez dyżurnych. O godz. 7.00- wymarsz z łopatami na wykop (200 m od obozu). Po dwóch godzinach przychodził ktoś z dyżuru i przynosił kawę lub herbatę w termosach. O godzinie 11.00 drugie śniadanie - dyżurni przynoszą kanapki. Jeśli był skwar (a przeważnie był) - sjesta do 11.45. Potem przerwa na kawę o 13.00 i zejście z wykopu o 14.30, bo piętnaście minut później wołano na obiad. Po obiedzie- czas wolny do kolacji (19.30). Nietrudno się domyślić, że po obiedzie wyruszałem na wycieczkę rowerową, wykąpawszy się przedtem w rzece. Na rowerze dotarłem do takich miejscowości jak: Kartuzy - z pięknym zespołem poklasztornym Kartuzów, Chmielno - z warsztatem ceramiki kaszubskiej, Ostrzyce - pięknie położone na przesmyku pomiędzy jeziorami, Sopot, no i oczywiście Gdańsk. Podczas Jarmarku Dominikańskiego i obchodów 1000-lecia miasta, zaplanowaliśmy także wycieczkę do Malborka, ale ze względu na zbyt dużą odległość, udaliśmy się tam pociągiem, a dzięki wstawiennictwu pani profesor zamek krzyżacki zwiedzaliśmy za darmo. Coś wspaniałego! Dotarłem również rowerem na najwyższą górę Pomorza - Wieżycę (328 m n.p.m.), skąd rozciąga się piękny widok na Pojezierze Kaszubskie. Wszędzie słyszeliśmy język kaszubski, który nam wydawał się całkiem, niestety, niezrozumiały, a opis swój kończę zdaniem, które widnieje na tablicy przy wjeździe do Kartuz:

Nigdë na zgubë
Nie przyńdą Kaszubë

Myślę, że każdy zrozumiał to zdanie.

Jakub Łysakowski

Mój pierwszy rok na studiach

Człowiek, który zdał maturę, ma o sobie wysokie mniemanie... a jak jeszcze zda egzaminy wstępne i zostanie przyjęty na uczelnię, to w ogóle nie mieści się w sobie i unosi się ponad wszystkimi i wszystkim. Dopiero początki studiowania sprowadzają takiego nadętego bufona na ziemię.

Ja wymyśliłem sobie, że będę studiował prawo. No bo taki adwokat czy prokurator to i pieniądze ma i poważanie... no może prokurator tylko poważanie. Mniejsza z tym. Zdawałem na Uniwersytet Warszawski i na Filię Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Na obydwu uczelniach zostałem przyjęty. No i co z tego, skoro fundusze nie pozwalały mi na Warszawę.Osoby, które się wybierają do stolicy na nauki, ostrzegam, że ceny są tam strasznie słone.

Wybrałem się więc na studia do Białegostoku. Niewielu zielonogórzan wie, że jest to prawie czterystu tysięczne miasto - stolica Zielonych Płuc Polski. Białystok jest bardzo ładny: rozległy, dużo w nim zieleni, ma wspaniałe zabytki, jak pałac Branickich czy kościół farny. Jest to miasto wielokulturowe: obok dominujących motywów polskich i białoruskich są tu wątki niemieckie, litewskie, żydowskie, ukraińskie, rosyjskie i tatarskie... Mnie osobiście urzekły stare, drewniane zabudowania i przepiękne kamieniczki na ulicy Lipowej.

Muszę stwierdzić, że studia w innym mieście, niż miejsce zamieszkania na stałe, są wielką przygodą. Zwłaszcza jeśli się mieszka w akademiku. W domu studenckim człowiek kładzie się spać czasami o godzinie pierwszej, czasami o trzeciej z rana, a czasami wcale się nie kładzie. Zwłaszcza podczas sesji.

Ja byłem wychowany w Ekologicznym Liceum Ogólnokształcącym, gdzie o nic nie musiałem się martwić, gdyż wszystko za mnie załatwiali dyrektor, wychowawczyni czy inni pracownicy oświaty. Dlatego też w pierwszym miesiącu studiowania czułem się dosyć zagubiony jak zresztą większość moich współtowarzyszy studiowania. Wszystko, ale to kompletnie wszystko, trzeba było samemu załatwiać. Najmniejsza, najbłahsza sprawa wymagała podania do dziekana lub dziekanatu. Z paniami sekretarkami można było spróbować dojść do konsensusu, jeżeli w pobliżu nie było kierowniczki. Kierowniczka ta wychodzi z założenia, że to studenci są dla niej, a nie ona dla studentów. W każdym razie łatwiej jest się porozumieć z „najtwardszym" profesorem niż z dziekanatem.

Zajęcia na moim kierunku dzieliły się na: ćwiczenia z przedmiotów, które były obowiązkowe, wykłady z przedmiotów , które były nieobowiązkowe i na które w październiku uczęszczało około 100% studentów, natomiast w czerwcu średnio około 15% - przy sprzyjających wiatrach. Ponadto, obok wyżej wymienionych ćwiczeń i wykładów, były jeszcze bloki językowe i wychowanie fizyczne. Wykłady były prowadzone przez egzaminatorów, dlatego też warto było na nie chodzić. Zwłaszcza jeżeli egzamin był ustny lub bardzo trudny. Żeby móc przystąpić do egzaminów, musiałem mieć zaliczenia z ćwiczeń z danych przedmiotów. Zaliczenia z ćwiczeń przypominają egzamin, tylko czasami te pierwsze są bardziej stresujące. Prowadzący ćwiczenia z reguły szybko dają zaliczenia - jednak są też wyjątki. Dobrym przykładem jest pewien ćwiczeniowiec, który w pierwszym dniu zaliczeń przez dwie godziny przepytał trzy osoby, a następnego dnia spóźnił się o cztery godziny i przepytał pięć osób, po czym stwierdził, że musi iść do lekarza. Wziął sobie zwolnienie lekarskie przyprawiając dwieście kilkanaście osób o palpitacje serca.

Co do egzaminów, to można je było zdawać w terminach:

-zerowym - mogli je zdawać tylko ci, którzy zdobyli piątkę lub czwórkę z zaliczenia z ćwiczeń z danego przedmiotu;

- normalnym -musieli zdawać wszyscy ci, którzy nie podeszli do egzaminu zerowego;

- poprawkowym - musiały zdawać osoby, które nie dostały oceny pozytywnej z egzaminu zerowego lub normalnego;

- komisyjnym - musieli zdawać ci wszyscy, którzy nie zdali egzaminu poprawkowego.

Osobiście polecam wszystkim, którzy wybierają się na studia, żeby zdawali egzaminy w terminie zerowym, a przynajmniej normalnym. Z tej prostej przyczyny, że o ile na egzaminie zerowym na czwórkę trzeba umieć dobrze około 90% materiału, o tyle na egzaminie komisyjnym, żeby uzyskać ocenę pozytywną, czyli = 3, trzeba już recytować książki.

Ja miałem dwie sesje egzaminacyjne, czyli dwu - trzytygodniowe okresy, w których składa się egzaminy. W sesji zimowej i sesji letniej było do zdania po pięć egzaminów. Pierwsza sesja obfitowała w gorsze oceny, gdyż większość studentów nie porzuciła jeszcze licealnych przyzwyczajeń, bo też trudno sobie uzmysłowić, że w przeciągu dwóch tygodni ma się zdać materiał pięciokrotnie większy od matury. Dlatego też dosyć dużo osób rozstawało się z uczelnią już po pierwszych zmaganiach.

Natomiast sesja letnia, mimo że materiał był prawie dwukrotnie większy od materiału sesji zimowej, wszystkim poszła lepiej. Rutyna robi swoje. Spośród wszystkich przedmiotów największą popularnością cieszyły się historia państwa i prawa Polski wykładana przez profesora Lityńskiego. Mnie najbardziej do gustu przypadło prawo konstytucyjne wykładane przez doktora Bożyka i profesora Zwierzchowskiego. Najtrudniejszym egzaminem, jak co roku, okazało się prawo rzymskie wykładane przez doktora Wyciska. Już samo nazwisko robi wrażenie, nieprawdaż? Kadra Wydziału Prawa w Białymstoku składa się ze świetnych wykładowców, których nazwiska są znane nie tylko w Europie, ale i na całym świecie - jak choćby profesor Szyszkowska, profesor Jamróz czy profesor Pływaczewski. Dlatego też nie dziwię się, że od września 1997 roku Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku uzyskała status samodzielnej uczelni.

Na zakończenie mogę stwierdzić, że jestem zadowolony z pierwszego roku studiów. Ani razu nie zdawałem egzaminu poprawkowego, czyli raczej jestem szczęściarzem. Oczywiście średnia z pierwszego roku o niczym nie świadczy, bo przede mną jeszcze cztery lata studiowania.

Rok ten był udany nie tylko „zawodowo", ale i towarzysko. Poznałem wielu ciekawych ludzi, mam wielu przyjaciół. W każdym bądź razie przez cały rok studiowania nie udało mi się spędzić w Białymstoku ani jednego wieczoru samotnie. Pomimo to nieraz tęskniłem za deptakiem, za Palmiarnią, za ulicą Westerplatte, za moim rodzinnym miastem Zieloną Górą.

Były członek Sekcji Historycznej
przy Stowarzyszeniu Pionierów Zielonej Góry

Leszek Karski

Lata dwudzieste, trzydzieste, czterdzieste...

Rozmowa z mgr Anną Ciosk, kustoszem Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

W salach ekspozycyjnych Muzeum Ziemi Lubuskiej otwarta jest wystawa pod sentymentalnym tytułem „Lata dwudzieste, lata trzydzieste...". Będzie ona odtworzeniem wyglądu dawnego, niemieckiego Muzeum Regionalnego (*Heimatmuseum),* które istniało w Zielonej Górze w latach 1922 - 1945 i stało się punktem wyjścia dla organizacji działalności muzealniczej w pierwszych latach po II wojnie światowej. W aranżacji dawnego, zielonogórskiego salonu mieszczańskiego, będącego częścią wspomnianej wystawy, rozmawiamy z jej twórcą, Panią mgr Anną Ciosk. Pierwsze nasuwające się pytanie dotyczy celu i sensu całego przedsięwzięcia.

(A.C.) Od wielu lat zajmuję się badaniem przeszłości muzeum w Zielonej Górze. Poświęciłam temu tematowi kilka publikacji. Z czasem dojrzała więc chęć odtworzenia obrazu muzeum, zawartego w opisach oraz na starych fotografiach. Projekt wystawy długo rodził się w mojej wyobraźni. Jego realizacja jest próbą przywrócenia dawnej atmosfery, w jakiej przedstawiano i dokumentowano przeszłość. Zadanie to jest moją powinnością badacza i muzealnika, ale także przygodą, sentymentalną wycieczką w czasy minione.

Jaka była organizacja *Heimatmuseum oraz sposób prezentacji zbiorów?*

(A.C.) Zielonogórskie *Heimatmuseum* było jedną z bardzo wielu takich placówek, zorganizowanych w całych Niemczech. Ich celem było prezentowanie przeszłości i współczesności tzw. „małych ojczyzn" (*Heimat).* Tworzone były wszędzie wg podobnych założeń, z zamiarem ukazania możliwie pełnego obrazu regionu. Ekspozycje obejmowały więc bardzo różne dziedziny, np. archeologię, etnografię, geologię, przyrodę, gospodarkę itd. W pewnym sensie były to miniatury ówczesnych muzeów narodowych, organizowane siłami społecznymi, nierzadko amatorskimi. Dobór eksponatów często był przypadkowy, zależny od hojności prywatnych ofiarodawców. Niekiedy stwarzało to wrażenie chaotycznego zbioru pamiątek. Wiemy jednak, że w miarę możliwości próbowano przestrzeń muzealną porządkować i organizować wg wspomnianych wzorów.

Wspomniała Pani, że *Heimatmuseum* prowadzone było społecznie. Jego powstanie wymagało pojawienia się w lokalnym środowisku pasjonata historii, miłośnika miejscowości i regionu. Kto taką rolę odegrał w Zielonej Górze?

(A.C.) Stworzenie i prowadzenie muzeum należy przypisać dr. Martinowi Klose. Klose urodził się w 1884 r. W 1903 ukończył gimnazjum w Zgorzelcu. Studiował języki nowożytne i historię sztuki w Halle i Getyndze, uzyskując tytuł doktora filozofii. W Zielonej Górze zamieszkał w 1910 r., obejmując posadę nauczyciela w gimnazjum realnym. Funkcję tę pełnił do 1935 r. Pracował także w miejskim archiwum. W 1922 r. objął kierownictwo *Heimatmuseum,* którego początki sięgały 1908 r. Wtedy to jeden z mieszczan, Albert Severin, przekazał Radzie Miejskiej swą kolekcję pamiątek mieszczańskich i cechowych. Nie znaleziono jednak wówczas stałego miejsca ekspozycji. Dopiero w związku z obchodami 700-lecia miasta, właśnie w 1922 r. (wg literatury i tradycji niemieckiej), dokonano otwarcia muzeum w budynku dawnej kaplicy luterańskiej (obecnie kościół polsko - katolicki na ul. dra Pieniężnego). Dzięki zabiegom Klosego uboga pierwotnie kolekcja została zasilona przez liczne dary od osób prywatnych, organizacji cechowych itp. Inauguracja muzeum w nowej formie nastąpiła w dniu Zielonych Świątek, 4 czerwca 1922 r. Warunki pracy muzeum w obiekcie posakralnym były jednak trudne. Od drugiej połowy lat trzydziestych stopniowo przeniesiono je do dawnej szkoły średniej przy obecnej ul. Lisowskiego.

Jakie zbiory znalazły się na wystawach w *Heimatmuseum* i które z nich można uznać za najcenniejsze?

(A.C.) Jak już wspomnieliśmy, sposób pozyskiwania zabytków był dość chaotyczny i przypadkowy. Martin Klose od początku swej działalności próbował porządkować i klasyfikować oraz organizować ekspozycję wg kryteriów tematycznych. Zbiory tworzyły kilka działów, m. in. prehistoryczny, winiarski, historii miasta, rzemiosła i cechów, kultury mieszczańskiej. Interesująca była kolekcja malarstwa - do najbardziej eksponowanych należały portrety cesarzy i królów z dynastii Habsburgów i Hohenzollernów. Zwracały też uwagę wyroby rzemiosła zielonogórskiego oraz dokumenty świadczące o wielkich tradycjach cechowych miasta. W posiadaniu muzeum było kilka egzemplarzy rzeźby gotyckiej, zbiór starych monet, pieczęcie i tłoki pieczętne, stara broń (dziś w części w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie), wyroby cynowe, puchary, narzędzia winiarskie, porcelana, mapy, książki i wiele innych. Zabytki te w większości zostały przejęte najpierw przez Muzeum Miejskie, a następnie Muzeum Okręgowe. Były one ponownie weryfikowane, klasyfikowane i oceniane. W części weszły w skład ekspozycji powojennych.

Przygotowana obecnie wystawa ma przywrócić niektóre z nich do aranżacji *Heimatmuseum.*

Problem kontynuacji w dziejach muzeum w Zielonej Górze od 1945 r. wiąże się nadal z osobą Martina Klosego...

(A.C.) Rzeczywiście, Martin Klose pozostawał w Zielonej Górze do 1947 r. Po wkroczeniu armii radzieckiej w lutym 1945 r. sam zgłosił się do władz wojskowych, informując o istnieniu placówki i zobowiązując się do dalszej nad nią opieki. Po ustanowieniu polskiej administracji w mieście Klose został mianowany kustoszem muzeum, a ponieważ formalnie stworzono taki etat, po raz pierwszy zaczął pobierać pensję za tę pracę. Drugim pracownikiem a zarazem kierownikiem muzeum została Eugenia Łychowska. Na polecenie władz wspólnie próbowali inwentaryzować zbiory w języku polskim, wydobywać eksponaty ukryte przed spodziewanymi działaniami wojennymi w piwnicach. Prawie w 100% udało się je zachować. Przygotowywano otwarcie wystawy w duchu *Heimatmuseum* wg koncepcji Klosego, choć oczywiście już pod polską nazwą: Muzeum Miejskie. Paradoksalnie, w dniu wznowienia publicznej działalności Muzeum 1VI 1946 r., Eugenia Łychowska wygłosiła patriotyczną mowę, podkreślającą polski charakter wystawy, a samo Muzeum miało być jednym z bastionów polskości na Ziemiach Odzyskanych. Był to znak czasów, wówczas emocjonalnie zrozumiały, choć tak naprawdę to charakter ekspozycji, będącej, jak wspomniano, kontynuacją niemieckiego *Heimatmuseum* w inscenizacji Martina Klose, wcale tego nie potwierdzał.

Martin Klose należał więc do tych Niemców, których ze względu na tymczasową przydatność nie wysiedlono z Zielonej Góry w 1945 r. W kwietniu 1946 r. został jednak eksmitowany ze swego mieszkania przy ul. Sulechowskiej (dom zajęła dyrekcja zakładów „Wagmo", d. Beuchelt), gdzie przechowywał pewną ilość eksponatów, i zmuszony do zamieszkania w budynku Muzeum na ul. Lisowskiego. Od tego czasu zaczęły się jego kłopoty z polskimi władzami i ... publicystami. W kilku publikacjach powojennych (lokalnych i centralnych) przedstawiono go jako człowieka nieuczciwego, kierującego się prywatnym interesem, a nawet motywami nacjonalistycznymi. Czy w swoich badaniach natknęła się Pani na jakieś dowody winy Klosego, polegającej na zagarnięciu muzealiów lub ukryciu (zniszczeniu) inwentarzy?

(A.C.) Wokół tej sprawy narosły przez lata mity, robiące krzywdę dr. Martinowi Klose. Zajmuję się historią muzeum w Zielonej Górze od wielu lat i nigdy nie natknęłam się na jakiekolwiek dowody jego nieuczciwości. Przeciwnie, np.

w kwestii zaginionych inwentarzy dysponujemy pismem, skierowanym przez Urząd Wojewódzki w Poznaniu do Zarządu Miejskiego w Zielonej Górze z 21 XI 1946, potwierdzającym odbiór owych inwentarzy. Nie mógł ich więc ukryć lub zniszczyć M. Klose. Są też zachowane jego sprawozdania, sporządzane dla władz polskich, w których dokładnie opisuje stan zbiorów muzeum (także przechowywanych u siebie w domu), deklarując chęć udziału w ich zabezpieczeniu i inwentaryzacji. Wszystko wskazuje więc na to, że ten niemiecki nauczyciel, muzealnik i społecznik próbował bezinteresownie ratować i zabezpieczać dorobek muzeum w nowych, radykalnie zmienionych warunkach politycznych. Jego poświęcenie w tamtych czasach nie mogło być jednak docenione. Zbyt żywe były wspomnienia wojny i okupacji. We wspomnianym piśmie z Poznania zapytywano, co w zielonogórskim muzeum robi jeszcze ten Niemiec Klose...? W czerwcu 1947 r. dr Martin Klose musiał na zawsze opuścić Zieloną Górę.

Czy wiadomo, co działo się z nim po wyjeździe z Polski?

Nasze wiadomości na ten temat są niestety dość skąpe. Krótko po wyjeździe prowadził korespondencję z pozostałym w mieście stróżem muzeum, który donosił mu o zmianach zachodzących w opuszczonej przezeń placówce. Sam Klose relacjonował swoją działalność muzealną w okresie wojennym i powojennym na łamach wydawanego we Frankfurcie nad Menem czasopisma niemieckich zielonogórzan, „Grünberger Wochenblatt." Nie wiemy niestety na pewno, gdzie osiedlił się i kiedy zmarł Martin Klose.

W 2 połowie lat 40-tych życie w Zielonej Górze biegło nowym torem. W jaki sposób dotyczyło to muzealnictwa?

W czerwcu 1947 r. (a więc miesiącu wyjazdu Klosego) Eugenia Łychowska zrobiła wystawę prac rzeźbiarki z Warszawy Wandy Sokołowskiej. Była to pierwsza a zarazem jedyna polska ekspozycja w tym „pionierskim" okresie. Ówcześni zwierzchnicy życia kulturalnego wymagali od jedynej pracownicy Muzeum Miejskiego szybkiej zmiany jego charakteru na placówkę dokumentującą przede wszystkim ślady polskości regionu nazwanego wówczas Ziemią Lubuską. Ponieważ Łychowska nie była w stanie w krótkim czasie podołać temu zadaniu, Muzeum w 1948 r. zostało zamknięte. W moim przekonaniu, a potwierdził to w swych listach i publikacjach Martin Klose, był to w istocie koniec niemieckiego *Heimatmuseum.*

W krótkim czasie przybyli na miejsce pracownicy ówczesnego Muzeum Wielkopolskiego z Poznania, dokonali nowej klasyfikacji i interpretacji przejętych zbiorów - właśnie we wspomnianym powyżej duchu. Dotyczyło to szczególnie zabytków archeologicznych, przedstawianych teraz jako dowody słowiańskości i polskości tych ziem. Znaczna część eksponatów weszła później w skład utworzonego w 1957 r. Muzeum Okręgowego, a dzisiaj stanowi ważny element Działu Historycznego, Działu Winiarskiego i Działu Sztuki Dawnej Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Rozmowę przeprowadził

Tomasz Nodzyński

Rozmyślania po północy

Jednoznaczność postaw, ambitnych, twardych, twórczych wobec życia, konflikty, antynomie Andrzej Gieraga eksponował w formie gwałtownych ataków czerni i bieli. Czołowe zderzenia tworzyły dramatyczną destrukcję dzieła. Nasze muzeum Gieraga nobilitował swoją galerią zanim został profesorem i rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Miał także katalog wydany w roku 1982. Czytam właśnie tekst z tego czasu. „Moja znajomość a potem przyjaźń z Władysławem Korczem datuje się od czasów manifestacji politycznej w 1957 roku zorganizowanej w Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Było to już po wypadkach poznańskiego czerwca. Wystąpiłem publicznie w chwilę po tym, gdy jeden z mówców, prowokator chyba, krzyczał zaśliniony, aby spalić Komitet Wojewódzki. Władysław Korcz przedarł się przez tłum i rzucił w moje ramiona. Myślę, że obaj myślimy o tym samym. Aby nie pozwolić wyprowadzić ludzi pod karabiny maszynowe, Korcz zresztą mówił o tym wyraźnie, trzymając mnie za rękę."

W dwadzieścia lat później, po sympozjum poświęconym filmowi historycznemu, Władysław idąc obok mnie w Łagowie zwierzył się konspiracyjnie, że najbardziej jednak lubi westerny. Będąc już uznanym człowiekiem nauki, Władysław Korcz słynął z fascynacji filmem. Następnie, aby dobić mnie absolutnie, przystanął, spojrzał mi w oczy wstrzymując się od mrugania i wyrzekł twardo: „Na *Siedmiu Wspaniałych* byłem siedem razy". W Galerii Andrzeja Gieragi Władysław przystanął zdumiony i wykrzyknął: „To jest mocne, to jest uderzenie". Pociągnąłem Go trochę na bok i wyszeptałem: „Przychodzę tutaj siedem razy w tygodniu". Władek stał trochę oszołomiony, więc wyjaśniłem z zachowaną konspiracją: „A kto był siedem razy na *Siedmiu Wspaniałych*". Władysław Korcz jak zawsze spontaniczny teraz już wykrzyknął: „Rzeczywiście, to jest to samo". To dla nas napisał o Stanisławie Dygacie Kazimierz Brandys: „Potrzebny był mi ten szalony przyjaciel, który dzieli świat na białe i czarne".

* * *

Ta przygoda jaką jest życie, to sprawa w swoim założeniu raczej okrutna. Ale nasze trwanie może mieć różny wymiar. Nawet szczęśliwy. Urodziłeś się na progu walczącej o niepodległość, po przeszło 120 letniej niewoli, Polski. Ojczyzna wznosiła swój suwerenny dom. Nie skończono dzieła, a już nas porwały wirujące wiatry historii. Burza wojenna przerzuciła Ciebie na daleką Syberię. Zarzucano Tobie, że zdradziłeś naród. Gdy odpowiedziałeś, że nie mogłeś zdradzić Rosji, gdyż jesteś Polakiem, argumentem sędziego było: „Małczi swołocz". Potem Pani Helena codziennie pisała listy do wysokich dostojników komunistycznych z prośbą o Twoje ułaskawienie. Mówiłeś, że Twoja miłość i tęsknota za żoną pozwoliła Ci przetrwać. Wreszcie tajga pozostała tylko w snach i wspomnieniach. Ziemia piękna, ziemia przeklęta.

Historia, także ta z Twoim udziałem, zadecydowała, że mogłeś budować ponownie Polskę suwerenną. Ironią losu jest fakt, że nie doczekałeś już naszego wejścia do przedsionka NATO, ale także szczęśliwie nie widzisz już kataklizmu Twojego ukochanego Wrocławia dewastowanego powodzią.

* * *

Znakomity uczony prof. Michał Sczaniecki pierwszy zwrócił już w latach pięćdziesiątych uwagę na wielką rolę upowszechniania historii właśnie tutaj na Ziemiach Odzyskanych. Ta sprawa stała się Twoją zawodową pasją. W dziesiątkach, setkach prelekcji postaciom historycznym nadawałeś ludzki wymiar. Władku, nikt tak jak Ty nie ożywiał wieków przeszłych, nikt też nie potrafił z taką jasnością wykazywać ciągłość między przeszłością a teraźniejszością. Nikt poza Tobą z takim zaangażowaniem nie włączył się w dramaty czasów współczesnych. Na długo przed wyprowadzeniem sztandaru Katyń stał się Twoją obsesją. Dotknął Ciebie nie tylko powiew historii, ale przykre konsekwencje natury politycznej i udręczanie terrorem psychicznym. Te telefony - „Zamilcz ty Żydzie, Cyganie, Ukraińcu..." Byłeś niezasypaną koleiną na szlachetnej drodze rodowodu wieczystej przyjaźni PRL-u i ZSRR. Dawałeś poczucie uczciwości historykom mojego pokolenia, ratowałeś naszą twarz. Jesteśmy glinianymi figurkami złożonymi w Twoim grobie. Chociaż tyle w nas uczciwości, że będziemy Tobie towarzyszyć przyznając sens tej walce.

* * *

Tkwiła w Tobie typowa polska drzazga. Ala obce Ci były romantyczne udręki. Jeszcze nie dotarło do mnie, że to koniec naszych spotkań, że już nigdy... To jeszcze nie jest pełna świadomość, mimo że z potężnym konduktem żywych odprowadziłem Ciebie na tę stronę, gdzie już tylko pamięć decyduje o nieśmiertelności. Szli obok siebie dawni niewolnicy imperium - Sybiracy, Twoi towarzysze walki z AK, ale także wielkomocarstwowi lojaliści i ci, dla których polityka to rzecz potwornie zniechęcająca. O miejscach pochówku zazwyczaj pisze się, że było pusto, zimno, cmentarnie. Ten na Wrocławskiej, rozfalowany, zielony, piękny. Dzień Twojego pogrzebu słoneczny, w miarę upalny. A za plecami czaiło się kolejne nieszczęście. Wielka woda z siłą nie kontrolowanego żywiołu zbliżała się

Po prawej stronie Prof. Władysław Korcz wraz z autorem „Rozmyślań po północy", zdjęcie z 1966 r.

Bobrem i Odrą do naszego województwa. Dramaty indywidualne splatają się z tragediami społecznymi. To właśnie jest życie.

* * *

Życie Cię hartowało. Uczyniło twardym. Nigdy jednak nie słyszałem, abyś przeklinał, posługiwał się rudymentami, posiłkował nieprzyzwoitymi zwrotami, nawet w stresowej sytuacji. Czyżby tam w łagrach siedzieli aniołowie? Gniew był u Ciebie widoczny. Władeczku, potrafiłeś ze złością spluwać na dywan, zacisnąć zęby i pięści, ale nigdy nie słyszałem, abyś w Twojej pięknej polszczyźnie obrzucał kogoś błotem, bluzgał, jak to się mówi, rzucał wiąchy tak zwanego mięsa. Władek, chyba jednak prof. Władysław Korcz, reagujący zmysłowo, intensywnie, spontaniczny w działaniu w sposób absolutnie nietypowy z tym widocznym ciśnieniem krwi, to zaiste fenomen. Wewnętrznie ocenzurowany? A może to szacunek dla ojczystego języka? Do samego siebie? Bo na pewno nie dla przeciwników.

* * *

Z Władkiem Korczem byliśmy od zawsze. I wtedy, gdy byliśmy uskrzydleni, aż po czas, gdy posiwiały nam dusze. Życie codzienne w jego troskach przynosił do Muzeum. Miał tu przyjaciół. Pracował w tym gmachu od 1967 przez przeszło cztery lata. Wcześniej, bo już od końca lat pięćdziesiątych, był pracownikiem Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, pracował u Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków - Klema Felchnerowskiego. Moje zaś spotkania codzienne nastąpiły, gdy jako kierownik Ośrodka Badawczo- Naukowego przy Lubuskim Towarzystwie Kultury /1962 r./, potem jako sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Naukowego /1964 r./ lokalowo byłem sublokatorem Stacji Naukowo- Historycznej PTH. Tą stacją kierował Władek, a była ona z kolei sublokatorem Muzeum. Tak więc byłem sublokatorem sublokatora. Taka piętrowa zależność od początku lat sześćdziesiątych. Prof. Korcz był także członkiem Prezydium LTN, a więc także przełożonym sekretarza. Potem stacja przeniosła się na ulicę Wiśniową razem z Towarzystwem Kulturalnym i Naukowym. Od 1976 roku Władek towarzysko ponownie przeniósł się do Muzeum, gdyż w tym czasie zostałem najważniejszym urzędnikiem w tym gmachu.

Ostatnio takie przyziemne troski gryzły Władka. Skradziono mu dowód osobisty. „Jakie szczęście, że się jeszcze nie przemeldowałem do syna na Jędrzychów", albo „Przewróciłem się i uderzyłem w głowę, poleżałem, ale po chwili stwierdziłem, że mi nic nie jest", a ostatnio „Ten upał bardzo mi dokuczył, coś chyba mam z głową". Spoważniał i dodał: „Ale będziecie na moim pogrzebie". Byliśmy. Były też Jolka, Maryla i Irena, do których skierował te słowa.

* * *

Zielona Góra, 11 lipca 1997 r. Dzień pogrzebu. Władysław żył 84 lata. Pewnie, że każdy jest do zastąpienia. Tylko kto może zastąpić kogoś takiego, jakim był profesor Władysław Korcz.

PS Władku! Przyniesiono mi najnowsze wydawnictwo Instytutu Zachodniego „Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych". Twój tekst zakończyłeś akapitem, który winien spowodować głębszą refleksję: „Myślę, że pielęgnując pamięć o dokonaniach niemieckich i szanując niemieckie dzieła o nieprzemijającej wartości, tak żeby uniknąć jednostronnej oceny odległej niekiedy przeszłości, mamy jednocześnie prawo oczekiwać, ze strony niemieckiej obiektywnego spojrzenia na polski dorobek kulturowy na Ziemiach Zachodnich i Północnych w minionym pięćdziesięcioleciu".

Jan Muszyński

Poznajemy okolice Zielonej Góry

Wzniesienia Łężyckie o powierzchni około 30 km² znajdują się między miejscowościami: Czerwieńsk, Wysoka, Krępa, Łężyce i Przylep. Stanowią je dwa pasma: dłuższe, główne z Czerwieńska do Krępy i krótsze w kształcie łuku z Przylepu do Łężyc. Północną granicą jest dolina Odry - łęgi nadodrzańskie, wschodnią i zachodnią kompleksy leśne, a południową pola-nieużytki i tereny lotniska Aeroklubu Ziemi Lubuskiej. Obszar ma urozmaiconą rzeźbę. Są to drobnopagórkowate wzniesienia morenowe dochodzące do 20 m, a nawet do 25 m wysokości względnej.

Do najwyższych wzniesień należą: Góra Łężycka, Góra Akacjowa i Góra Dawida znajdująca się koło Łężyc, skąd roztacza się rozległy widok m. in. na Zieloną Górę i budowaną ekologiczną oczyszczalnię ścieków. Oczyszczalnia jest największą i najdroższą inwestycją w historii Zielonej Góry i najbardziej potrzebną mieszkańcom miasta. Budowana oczyszczalnia zajmuje teren 8 ha i kilkunastokilometrowy kolektor (kanał) doprowadzający ścieki. Zakończenie inwestycji nastąpi w końcu 1998 r., a od 1999 r. przewidziany jest rozruch technologiczny.

Wzniesienia są zalesione głównie drzewostanem iglastym - sosnowym. Nielicznie występują: dąb, buk i brzoza. Spotkać tu można sarny, zające, a nawet lisy. Przez zachodnią część Wzniesień płynie długości około 15 km rzeka (potok) Gęśnik uchodząca do Złotego Potoku (Złotej Łączy). Wypływa ona spod osiedla Pomorskiego i płynie przez Wagmostaw, os.Zastalowskie, Przylep i obrzeże Czerwieńska. Jest poważnie zanieczyszczona przez Zakłady Mięsne w Przylepie.

Podnóżem pasma głównego wyznaczony jest szlak turystyczny koloru żółtego, który prowadzi z Czerwieńska przez Wysoką do Krępy (8 km). Liczne drogi i ścieżki leśne ułatwiają spacery po wzniesieniach. W czasie wędrówek można skorzystać z barów i restauracji w Czerwieńsku i Przylepie, a w pozostałych miejscowościach ze sklepów spożywczych. Na tym terenie nie ma zabytków architektury ani też historycznych. Warto jednak zwrócić uwagę, że początki Krępy sięgają XIII w., a młyna papierniczego XVI w. (obecna Fabryka Tektury). Najstarsza wzmianka o Czerwieńsku pochodzi z 1428 r.

Ukształtowanie terenu i duże zalesienie Wzniesień Łężyckich oraz niewielkie oddalenie od Zielonej Góry, a także dogodne dojazdy i powroty powinny zachęcać do pieszych wędrówek (w ziemie narciarskich).

Z Zielonej Góry na Wzniesienia Łężyckie można dojechać autobusami MZK: do Zakładów Mięsnych w Przylepie (nr 2, 3, 9, 12, 16 i 20), do lotniska (nr 20), do Wysokiej (nr 34), do Łężyc (nr 23), do ogrodnictwa przy ul. Batorego (nr 19) i do Krępy (nr 22). Autobusy MZK linii nr 3, 9, 12, 16 i 31 nie kursują w soboty i niedziele.

Powroty podobnie jak i dojazdy autobusami MZK są częste, tanie i krótkie czasowo. Wygodne są też dojazdy samochodami i rowerami asfaltowymi szosami.

Jerzy Łatwiński

Z dziejów zielonogórskiej Gazowni Miejskiej

Gazownia w Zielonej Górze była jednym z najstarszych zakładów gospodarczych w mieście. Z inicjatywą jej budowy wystąpił emerytowany radca rejencyjny z Berlina Hans Viktor von Unruh. W 1864 roku zawarł on z władzami miejskimi umowę notarialną, na mocy której uzyskał prawo wyłączności na budowę na własny koszt gazowni publicznej w Zielonej Górze.

Gazownia została wybudowana na łące leżącej na tyłach ujeżdżalni (obecny plac Przy Gazowni). Cały ten rejon był dawniej podmokły i dlatego przez długie lata pozostawał nie zabudowany. W XVIII wieku zorganizowano tutaj ujeżdżalnię koni dla garnizonu dragonów, przejściowo stacjonującego w Zielonej Górze. W trakcie budowy teren wokół Gazowni został zmeliorowany. Zakład składał się z budynku, w którym odbywał się proces produkcji i oczyszczania gazu oraz z jednego zbiornika gazowego.

Na mocy umowy z miastem właściciel miał monopol na produkcję gazu przez pierwsze sześć lat po otwarciu Gazowni. Po upływie tego czasu władze miejskie mogły wybudować własną gazownię lub też zezwolić na budowę gazowni osobom trzecim. Początkowo Gazownia produkowała wyłącznie gaz oświetleniowy. Właściciel był zobowiązany, na podstawie osobnej umowy oświetleniowej z miastem zawartej również w 1864 roku, do dostarczenia gazu do usytuowanych we wskazanych miejscach 140 latarni gazowych. Zastąpiły one dotychczasowe oświetlenie olejowe. Miasto płaciło von Unruhowi za gaz według wskazań licznika dwa talary reńskie i 20 srebrnych groszy za 1000 stóp sześciennych gazu.

W roku 1881 H.V. von Unruh sprzedał Gazownię, za zgodą władz miejskich, dla spółki Neue Gas Actien Gesellschaft w Berlinie. Pod nowym kierownictwem zakład został gruntownie rozbudowany w latach 1881-1884.

W dniu 1 stycznia 1919 roku Gazownia została wykupiona przez władze miejskie. Od tego czasu do 1945 roku funkcjonowała ona pod wspólnym zarządem wraz z Wodociągami Miejskimi.

Z uwagi na potrzebę modernizacji Gazowni i wzrastające potrzeby w zakresie zaopatrzenia w gaz, w październiku 1926 roku podjęta została decyzja o rozbudowie urządzeń wytwarzających gaz. W miejsce starych sześciu pieców zamontowany został, stanowiący najnowsze osiągnięcie techniki, pionowy piec trzykomorowy systemu „Didier" z automatycznym urządzeniem załadowczym oraz nowy generator gazowy. Zainstalowano również dwa nowe kotły parowe o pojemności 40 i 60 m³, które dodatkowo zaopatrywały w parę Łaźnię Miejską przy ul. Zamkowej.

Rok 1929 był przełomowy w zakresie oświetlenia ulicznego. Nastąpiło bowiem częściowe przestawienie ulicznego oświetlenia z gazu na prąd elektryczny, co spowodowało zmniejszenie liczby czynnych latarni gazowych z 425 do 358 sztuk.

Gazownia Miejska po 1945 roku

W chwili przejęcia władzy w Zielonej Górze przez polską administrację w dniu 6 czerwca 1945 roku Gazownia była nieczynna. Zakład był sprawny technicznie lecz produkcja gazu była wstrzymana z uwagi na brak węgla. W lipcu 1945 roku Zarząd Miejski zatrudnił pierwszych pracowników zakładu Gazownia i Wodociągi Miejskie w Zielonej Górze. Byli to: Edmund Kowalski – kierownik zakładu i Cecylia Kurzawianka – pomoc biurowa. Oprócz tego w latach 1945-1946 w Gazowni pozostało kilku przedwojennych pracowników niemieckich, w tym mistrz sieci gazowej Hoffman. Ten stan zatrudnienia utrzymał się do końca 1945 roku, z uwagi na długotrwałe trudności z uruchomieniem produkcji gazu. Jeszcze we wrześniu 1945 roku wiceburmistrz Stanisław Wielgosz pisał w sprawozdaniu z działalności Zarządu Miasta w Zielonej Górze „Z większych przedsiębiorstw miejskich są uruchomione zakłady wodociągowe, zakład kanalizacyjny, rzeźnia miejska, ogrodnictwo miejskie. Od połowy października uruchomi miasto gazownię miejską. Uruchomienie gazowni obecnie – po uskutecznieniu potrzebnych napraw zależy tylko od uzyskania węgla, który jest zamówiony i ma nadejść w połowie października br."

Termin uruchomienia gazowni był kilkakrotnie przekładany, najpierw, na połowę grudnia 1945, następnie na początek lutego 1946. Ostatecznie Gazownia rozpoczęła pracę na krótko w kwietniu 1946 roku. W miesiącu maju wystąpiły bowiem ponownie trudności w zaopatrzeniu w węgiel. Jak wynika z wyjaśnienia burmistrza Zielonej Góry Tomasza Sobkowiaka, zamówienia na węgiel były realizowane zaledwie w 30 procentach. Ponadto dostawy węgla były bardzo nieregularne, a wysyłane transporty często ginęły po drodze. W kwietniu i w maju 1946 gazownia otrzymała po 100 ton węgla mimo, że zgłaszała zapotrzebowanie kolejno na 250 i 350 ton. W dniu 1 grudnia 1945 roku rada miejska w Zielonej Górze podjęła pierwszą uchwałę w sprawie opłaty za gaz w wysokości 4 zł za 1 m sześcienny i 40 zł za roczną dzierżawę licznika.

W latach 1946-1948 w gazowni było zatrudnionych około 20 osób, w tym:

Edmund Kowalski – kierownik (przybył do Zielonej Góry z Poznania) Bronisława Żmijewska – „buchalter" (księgowa)
Cecylia Kurzawianka – pracownik biurowy
Jadwiga Lisówna – pracownik biurowy
Maria Czeczukiewicz – pracownik biurowy
Jan Szajkowski – inkasent Leon Szymański – inkasent
Andrzej Szot – inkasent
Henryk Tylzon – inkasent
Władysław Zakrzewski – inkasent
Franciszek Turkiewicz – majster
Stanisław Bonifaczuk – dział produkcji – palacz
Michał Besarabow – dział produkcji – monter sieci gazowej
Bronisław Drygasiewicz – dział produkcji Wacław Kozak – dział produkcji – ślusarz
Jakub Piotrowski – dział produkcji – majster
(-) Stelmaszczyk – dział produkcji.
Czesław Struźik – referent ewidencyjny
Marcin Mrugacz – referent rozrachunkowy
Jan Bednarek – kierownik techniczny
Teodor Mianowski – zaopatrzeniowiec
Antoni Łukaszyk – maszynista aparatowni

W 1948 roku liczba pracowników zatrudnionych w gazowni wzrosła do 23 osób. W tym samym roku nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika Gazowni i Wodociągów Miejskich. Funkcję tę sprawowali w latach 1948-1951 kolejno – (-) Ciechelski i Józef Kęciński.

Wykonanie planu produkcji gazowni w 1948 roku przedstawiało się w sposób następujący:

Zużycie węgla gazowniczego: 4.119 ton
Produkcj a gazu -1.210.000 m³
Produkcja koksu – 2.198 ton
Produkcja smoły – 90 ton

Produkcja gazu w latach 1946-1950 w pełni wystarczyła na pokrycie popytu. Rozwój przestrzenny miasta był w tym okresie bardzo ograniczony, dlatego też nie prowadzono prac inwestycyjnych w zakresie rozbudowy sieci gazowej i urządzeń do produkcji gazu. Ograniczano się jedynie do bieżących remontów sieci.

W 1950 roku Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego w Warszawie zadecydowała, że Zielona Góra jako miasto wojewódzkie osiągnie w perspektywie do roku 1970 liczbę 100 tysięcy mieszkańców. Tak znaczny wzrost ludności miasta musiał iść w parze z rozwojem infrastruktury technicznej miasta, w tym z rozwojem sieci gazowej.

W 1951 roku nastąpiła zmiana w dotychczasowej strukturze organizacyjnej zakładów komunalnych. Gazownia i Wodociągi Miejskie zostały podzielone na dwa odrębne zakłady, a następnie włączone do nowoutworzonego Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Zielonej Górze. Pierwszym dyrektorem MPGK został Karol Szydłowski. Nadzór nad produkcją gazu sprawował natomiast Józef Kęciński. W 1951 roku liczba pracowników gazowni wzrosła do 34 osób. Według opinii Józefa Kęcińskiego produkcja gazu dla potrzeb miasta była w tym czasie wystarczająca. Zwracał on jedynie uwagę na potrzebę remontu zbiorników gazowych i lepszą organizację działu naprawczego sieci i urządzeń poza siecią w poszczególnych posesjach.

Zaopatrzenia miasta w gaz uległo pogorszeniu w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy liczba mieszkańców Zielonej Góry przekroczyła o blisko 20 tys. osób stan przedwojenny i wynosiła 45 tys. osób. Stare urządzenia wytwórcze były nadmiernie eksploatowane, a ponadto posiadały już zbyt małą zdolność produkcyjną w stosunku do potrzeb. W 1953 roku produkcja gazu wynosiła 2.102.216 m³. Rezultat ten osiągnięto jednak kosztem pogorszenia jakości gazu. W latach 1949-1956 funkcjonowało jeszcze gazowe oświetlenie ulic.

Przedsiębiorstwo Gazownia Miejska 1956-1966

W końcu 1955 roku miała miejsce kolejna zmiana organizacyjna w zakresie funkcjonowania przedsiębiorstw komunalnych. Na podstawie decyzji Prezydium Miejskiej Rady Narodowej z dniem 1 stycznia 1956 roku z Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej zostało wyłączone Przedsiębiorstwo Gazownia Miejska. Kierownictwo nad nowym przedsiębiorstwem objął dotychczasowy dyrektor MPGK – Andrzej Adamczak. Stan zatrudnienia w zakładzie wynosił 72 osoby.

W związku z niewystarczającym pokryciem zapotrzebowania mieszkańców miasta w 1959 roku podjęte zostały starania o wprowadzenie w Zielonej Górze gazyfikacji bezprzewodowej na gaz płynny propan-butan. Dostawcą tego gazu dla Zielonej Góry została Centrala Produktów Naftowych w Poznaniu.

Prace inwestycyjno-remontowe w gazowni, realizowane w latach 1956-1965 pozwoliły, przy wykorzystaniu maksymalnych mocy produkcyjnych na zaspokojenie popytu na gaz na dostatecznym poziomie. Nie rozwiązywały jednak problemu zaopatrzenia miasta w gaz w dłuższym okresie czasu. Problem ten był podnoszony na sesjach rady miejskiej w 1960 roku. Rozpatrywano wówczas propozycję uzyskania środków finansowych z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej na budowę nowej gazowni poza miastem i likwidację starej. Ustalona została już nawet jej lokalizacja przy ul. Krośnieńskiej, na terenie dawnej cegielni. Z planów budowy nowej gazowni zrezygnowano ostatecznie po odkryciu jesienią 1962 roku złóż gazu ziemnego w okolicach Nowej Soli. Decyzja o budowie gazociągu z odkrytych źródeł gazu do Zielonej Góry podjęta została w styczniu 1965 roku.

Po raz pierwszy gaz ziemny dostarczany został do miasta z odwiertu Troska, znajdującego się w Książu Śląskim. Był to wysoki metan, który z uwagi na bardzo dobrą wartość kaloryczną był mieszany z powietrzem w proporcji i 67% gazu i 33% powietrza. W 1966 roku miasto zakupiło 159 tys. m³ gazu ziemnego.

Złoża gazu w Książu bardzo szybko się jednak wyczerpały. Na przełomie 1966/67 roku rozpoczęły się dostawy gazu do Zielonej Góry z odwiertów położonych w okolicach Otynia. Gaz ten był jednak słabej jakości, posiadał bardzo złą wartość kaloryczną i dużo azotu. Tymczasem w 1967 roku odkryto bogate złoża gazu ziemnego na Niżu Wielkopolskim w okolicach Ostrowa Wielkopolskiego. W związku z tym podjęto decyzję o budowie rurociągu z Ostrowa przez Głogów do Zielonej Góry.

Gaz ziemny dostarczony został w pierwszej kolejności do nowych dzielnic – Osiedla Wazów i Wzgórza Piastowskiego oraz do kompleksów nowo wybudowanych budynków mieszkalnych. W dniu 14 stycznia 1966 roku gaz dotarł do pierwszych mieszkań bloku nr 5 na osiedlu Wazów III, a w tydzień później otrzymali go mieszkańcy Osiedla Piastowskiego oraz przy ul. Wiśniowej. W końcu stycznia dotarł on do mieszkań przy ul. Krasickiego. W trakcie uruchamiania nowej sieci gazowej nie obyło się bez wypadków. W dniu 1 lutego 1966 roku wybuch gazu ziemnego uszkodził budynek mieszkalny przy ul. Ogrodowej 40-48. Ranne w wypadku dziecko przebywało w szpitalu.

Gaz ziemny używany był również początkowo do wzbogacenia gazu węglowego w Gazowni Miejskiej, do czasu wyłączenia jej z produkcji. Decyzja o zaprzestaniu produkcji gazu węglowego i przejściu całkowicie na zasilanie odbiorców gazem ziemnym podjęta została we wrześniu 1967 roku. W połowie lat 70-tych starą gazownią przy ul. Zamkowej rozebrano, a Zakład Gazowniczy przeniósł się w 1976 roku do nowej siedziby przy ul. Zacisze.

Zbigniew Bujkiewicz

Papiernia w Krępie

W czasach nowożytnych Zielona Góra była w pełni ukształtowanym ośrodkiem miejskim, w którym szeroko już użytkowany papier był niezbędnym produktem dla pisemnego dokumentowania działalności instytucji miejskich, transakcji gospodarczych, korespondencji i – prozaicznego – pakowania towarów. Zapewne w połowie XVI w. władze miejskie doszły do wniosku, że wybudowanie własnego młyna papierniczego pozwoli zaoszczędzić sporo grosza wydawanego na zakup papieru sprowadzanego spoza Zielonej Góry.

Młyn papierniczy wzniesiono na gruntach miejskich, w nieodległej Krępie. W początkach XVII w. był dochodowym zakładem, który w 1614 r. przyniósł miastu 347 talarów zysku, przy czym wyprodukowany w tym roku papier sprzedano za 1370 talarów. Skala tej produkcji wskazuje, że papiernia była w tym czasie w pełni rozwiniętym przedsiębiorstwem, którego powstanie odnieść należy zapewne do połowy XVI w., chociaż brak danych źródłowych potwierdzających to przypuszczenie. Przemawiałyby za tym jedynie filigrany z herbem Zielonej Góry na dokumentach z lat 1581 i 1599.

W początkach XVII w. młyn papierniczy w Krępie wytwarzał wiele odmian papieru, mianowicie: 1. wielki biały, królewski, 2. trzy odmiany średniego niebieskiego: a/ duży, b/ gruby, c/ mały, 3. zwykły piśmienniczy, 4. dwie odmiany kancelaryjnego: a/ wybrakowany, b/ przedni, 5. drukowy, 6. do wyrobu kart, 7. pakowy. Oddzielną kategorię stanowił wreszcie papier wybrakowany zwykły.

Papiernia zaspokajała potrzeby Zielonej Góry oraz okolicznych miejscowości. Duże ilości papieru sprzedawano do Bytomia Odrzańskiego i Nowogrodu Bobrzańskiego, Sulechowa i Świebodzina, a nawet do Głogowa i Wrocławia, gdzie działały miejscowe młyny papiernicze. Ceny papieru produkowanego w Krępie musiały być konkurencyjne, gdyż znajdował on odbiorców w Polsce, a poprzez Frankfurt nad Odrą eksportowany był również na Zachód. Stałymi odbiorcami produktów Krępy byli zwłaszcza introligatorzy oraz wytwórcy kart do gry.

Początkowo miasto zatrudniało najemnego papiernika, który np. w latach 1613-1614 otrzymał tytułem wynagrodzenia 966 talarów i 27 białych groszy, co jak na owe czasy było znaczną kwotą. Pracował na akord, a więc płacono mu zależnie od ilości i jakości wyprodukowanego papieru. Najwięcej za belę dużego, białego papieru królewskiego – 18 talarów, najmniej natomiast za papier pakowy i wybrakowany – 2 talary i 18 gr.

Ryza (500 arkuszy) dużego, białego papieru królewskiego kosztowała w tym czasie 2 talary i 18 gr, kancelaryjnego – 1 talar 12 gr, ryza zwykłego piśmiennego – 27 gr, a zwykłego wybrakowanego – 18 gr (białych). Produkcja papieru w Krępie w latach 1613-1614 wyniosła 179 beli; średnia roczna – 890,5 beli odpowiadała w przybliżeniu przeciętnej produkcji młyna papierniczego w tej części Europy przed wybuchem wojny trzydziestoletniej. Warto dodać, że na belę składa się 10 ryz papieru.

W drugiej połowie XVII w. miasto oddało młyn papierniczy w dzierżawę. Z akt miejskich znamy nazwiska ośmiu dzierżawców – producentów papieru w Krępie w latach 1651-1718. Do wyróżniających się długością dzierżawy należeli: Hans Henschke, Hans Georg Geissler, Adam Braunecker i Johann Georg Geissler.

20 czerwca 1727 r. miasto sprzedało papiernię z przyległą łączką i gruntem ówczesnemu dzierżawcy Jeremiaszowi Scholzowi za 1000 talarów, przy czym roczna renta gruntowa wyniosła 30 talarów, a dodatkowo papiernik miał przekazywać zarządowi miasta każdego roku 5 ryz papieru. Jak wynika z zapisu w księdze protokolarnej rady miejskiej, zgodnie z zarządzeniem władz, J. Scholz był zobowiązany dostarczyć w 1740 r. w wyznaczone miejsce 100 ryz papieru zwykłego po 26 gr, 70 ryz papieru kancelaryjnego po 1 talarze, 5 ryz papieru listowego po 1 tal. i 10 gr. Po śmierci Scholza papiernię przejęła wdowa po nim, Beata, a następnie jej syn, Johann Gottlieb Scholz, który w 1793 r. wystąpił do władz miejskich o sprzedanie znajdującego się w Krępie górnego młyna zbożowego i jego przebudowę na młyn papierniczy. Ten ostatni z Scholzów papierników pełnił również intratną funkcję generalnego dzierżawcy dóbr kamery Grünberg i występuje w aktach miejskich jeszcze w 1799 r. W 1816 r. właścicielką młyna papierniczego była kupcowa Brettschneider, z domu Scholz, zapewne córka Johanna Gottlieba. Wraz z Scholzami kończy się epoka produkcji papieru czerpanego w Krępie. Friedrich Förster, nowy od 1845 r. właściciel Krępy, zainwestował znaczne środki i w nowo wybudowanej fabryce papieru zainstalował maszynę papierniczą z ciągłym sitem. U schyłku XIX w. fabryka wyposażona była w dwie maszyny parowe i 9 holendrów, a zatrudnionych w niej 45 pracowników produkowało rocznie 5 tysięcy cetnarów papieru pakowego (250 ton). Z czasem podjęto na szeroką skalę produkcję tektury, a po drugiej wojnie światowej fabryka specjalizuje się w wyrobie tektury papowej.

Filigrany papierni w Krępie

Arkusz papieru produkowano poprzez czerpanie sitem z kadzi masy papierowej, utworzonej ze zmiażdżonych stępą w młynie włókien lnianych. Po wysuszeniu arkusz papieru był lustrzanym odbiciem drucianego sita. Podświetlając arkusz widzimy na nim żebrowanie uformowane z odległych od siebie o kilka centymetrów kres, równoległych do krótszego boku arkusza oraz prążków odległych od siebie o około 1 mm, równoległych do dłuższego boku arkusza. Kresy to ślady grubych drutów sita, natomiast prążki to ślady cienkich drucików tegoż sita. Pośrodku jednej z połówek arkusza papieru występuje znak wodny jako odbicie stosowanego przez młyn papierniczy filigranu. Podobnie jak kresy, filigran wykonywano z drutu, a tylko wyjątkowo z blachy. W Krępie od końca XVII w., oprócz właściwego filigranu, umieszczano pośrodku drugiej połówki arkusza – zresztą nie zawsze – tzw. kontrmarkę z inicjałami lub nazwiskiem papiernika oraz nazwą miejscowości.

W trwającym bez mała 300 lat okresie produkcji papieru czerpanego, młyn w Krępie stosował kilkadziesiąt rodzajów filigranów; 24 reprodukuje monografista Zielonej Góry, Hugo Schmidt. Nie jest to jednak pełna kolekcja papierowych znaków wodnych z Krępy, co więcej, nie wszystkie uwzględnione przez niemieckiego autora filigrany powstały w podzielonogórskiej papierni. Schmidt słusznie zwraca uwagę, że w wielu przypadkach na znanych mu filigranach z Krępy występują motywy podkreślające związek papierni z Zieloną Górą, jak na przykład przejęty z pieczęci herb miasta oraz niektóre motywy architektoniczne. Jednak posuwa się w tym za daleko i dowolnie łączy niektóre wyobrażenia na filigranach z epizodami z dziejów zielonogórskiego grodu. Schmidt twierdzi mianowicie, że filigran z wyobrażeniem mężczyzny z kluczem (półpostać w tondzie) jest ilustracją do sporu, jaki powstał pomiędzy proboszczem zielonogórskiej parafii, Sebastianem Senftlebenem, a przełożonym szpitala o klucz do polskiego kościoła na cmentarzu św. Trójcy. Filigran miałby więc przedstawiać jednego z uczestników sporu. W rzeczywistości filigran wyobraża św. Piotra z kluczem i księgą, atrybutami tego apostoła, przy czym zarys księgi podtrzymywanej przez świętego lewą ręką

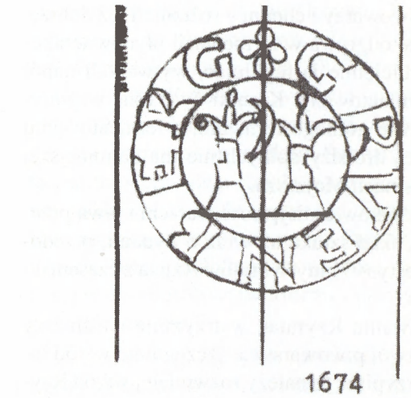

1674

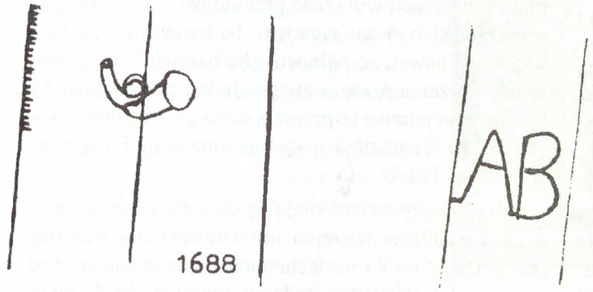

1688

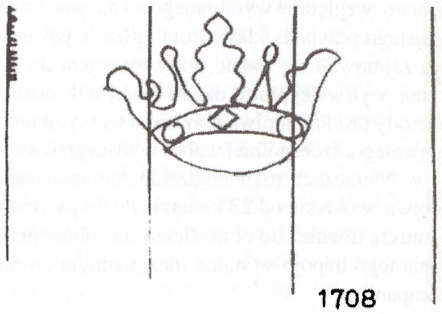

1708

przedstawiono w formie prostokąta. Św. Piotr jako patron Dusznik występuje stale na filigranach dusznickiej papierni i to od 1591 r. aż po schyłek XVIII w., zarówno w całej, jak i w półpostaci. W tym drugim przypadku jest identyczny z filigranem reprodukowanym przez Schmidta. Nie może więc ulegać wątpliwości, że jest to filigran młyna papierniczego w Dusznikach. Tym bardziej, że w dokumentach zielonogórskich znajdujemy analogiczny znak wodny z półpostacią św. Piotra na dokumencie z 1720 r., z inicjałem R na tondzie (kole), odpowiednikiem nazwiska Reinerz, właściciela papierni w Dusznikach.

Również wiele filigranów z Krępy można łączyć z nazwiskami dzierżawców lub właścicieli podzielonogórskiej papierni. Nowo odnaleziony znak wodny, wzorowany na pieczęci miejskiej, ukazujący dwie wieże bramy miejskiej, a między nimi półksiężyc, był niewątpliwie filigranem Hansa Georga Geisslera, znakującym jego wytwory w latach 1674-1680. Kontrmarka HR na filigranie przedstawiającym nie znaną Schmidtowi koronę zawiera inicjały, których identyfikacja nastręcza trudności, gdyż kryć się za nimi mogą dzierżawcy Hans Reym lub Heinrich Reiman, występujący w aktach w 1695 i 1699 r. Takich trudności nie mamy natomiast w przypadku kontrmarki z inicjałami IGG, występującymi na dokumencie z 1708 r. z filigranem przedstawiającym inną, znaną Schmidtowi wersję korony. IGG to inicjały papiernika Johanna Georga Geisslera, dzierżawcy młyna w latach 1707-1714. Wcześniejszy filigran w formie trąbki pocztyliona, będący znakiem wodnym papieru listowego wysokiej klasy z 1688 r., posiada jako kontrmarkę inicjały AB, papiernika Adama Brauneckera.

Ponad stuletni okres dziejów młyna papierniczego w Krępie, przypadający na lata 1727-1845, wiąże się ściśle z rodem jego właścicieli – Scholzów, co znajduje wizualne odbicie w znakach wodnych ich papierni. Filigranem protoplasty rodu, Jeremiasza Scholza, który zakupił papiernię w 1727 r., był dwugłowy orzeł monarchii austriackiej, występujący na dokumencie z 1730 r. Wybór herbu jednoznacznie tłumaczy przynależność Śląska (do 1742) do austriackiej monarchii. Syn Jeremiasza, Johann Gottlieb Scholz, odnotowany w aktach miejskich w latach 1763-1799, stosował już filigran z popiersiem Fryderyka Wilhelma III, króla Prus, w profilu i ozdobnym otoku, pod którym umieszczono inicjały FW III KvP, natomiast w kontrmarce inicjały JGS i nazwę miejscowości – GRUENBERG. Inicjały tego papiernika i równocześnie dzierżawcy dóbr zielonogórskiej kamery odnaleźć można na arkuszach papieru jeszcze w 1825 r., być może jako nazwę firmy. W teczce akt z 1831 r. na grubym papierze natrafiamy na filigran nie znanego Schmidtowi E. Scholza z nazwą miasta w kontrmarce. Był to już końcowy etap produkcji papieru czerpanego w Krępie.

Grzegorz Chmielewski

Bibliografia: H. Schmidt: Geschichte der Stadt Grünberg. Grünberg 1922; A. Toczewski: Dzieje zielonogórskiego młyna papierniczego. Przegląd Lubuski, 1983, nr 3, s. 17-30.

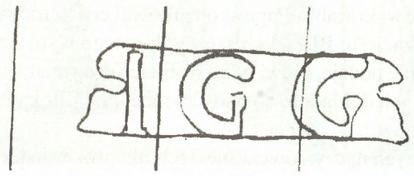

Historia piwowarstwa na świecie

c. d.

Od Chińczyków przejęli Japończycy zasady techniki wytwarzania piwa ryżowego, wprowadzonego zamiast najdawniejszego napoju krajowców Nipponu - piwa z prosa. Niewola babilońska, zatrudniając Żydów przymusowo w browarach miejscowych, wykształciła ich na dobrych, w ówczesnym znaczeniu tego słowa, piwowarów. Piwowarstwo żydowskie, zaprowadzone według systemu i metod techniki babilońskiej i egipskiej, z biegiem czasu stara się wprowadzić pewne ulepszenia sposobów produkcji. Stare pergaminy mówią, że najdawniejsi piwowarzy żydowscy, warząc piwo 13-zacierowe, „wyciśnięty sok" (brzeczkę) pierwszego zacieru sporządzonego dnia poprzedniego na drugi dzień dodawali do zacieru następnego. Wytwarzano w ten sposób i zadawano nieświadomie drożdże piwowarskie; było to jakby przejściem od fermentu samoistnego do racjonalnego.

Dawne ludy Izraela uznawały, jakoby już wtedy rozróżniały wartość drożdży piwnych i winnych, jak również znaczenie ich dla fermentacji poszczególnych płynów. Na podstawie danych zebranych wśród licznych komentatorów Talmudu, sporządzanie piwa w dawnych browarach hebrajskich można sobie wyobrazić następująco: Przygotowane surowce składające się przeważnie z jęczmienia, gdyż pszenica za drogo wypadała, zalewano w kadzi ciernej wodą gorącą, przykrywano pokrywą i pozostawiano na czas dłuższy w spokoju. Zależnie od temperatury, cieplejszej lub zimniejszej, fermentacja kończyła się prędzej czy później. Wtedy płyn odcedzano, zacier odfermentowany wyciskano, jak za czasów egipskich, zbierając całą ilość brzeczki w innym naczyniu do szybkiego użycia lub też przelewając do mniejszych dzbanów przeznaczonych na dłuższe przechowywanie napoju. Wielkie zbiorniki brzeczki odfermentowanej czy też małe dzbanki z płynem leżakowym posiadały szczelnie dopasowane pokrywy, przeważnie drewniane, aby ochronić płyny od zetknięcia się z powietrzem zewnętrznym. Wyciskanie resztek brzeczki z zacierów i cedzenie, klarowanie brzeczki odbywało się w browarach hebrajskich według wzorów staroegipskich. Znajdujemy jednak wzmianki w Talmudzie, wskazujące na to, że najsłynniejszy piwowar żydowski Rabbi Papa skonstruował coś w rodzaju filtra do zacieru. Bliższych szczegółów tego wynalazku Talmud nie podaje, mówi tylko o ramach drewnianych, dopasowanych dokładnie do podstawionej pod filtr kadzi fermentacyjnej.

Z większych naczyń ówczesnej techniki piwowarskiej pozostawione dokumenty wymieniają kociołki do mieszania piwa z wodą, o ile komuś wydawał się napój za mocny, następnie beczki i kufy. Były to naczynia z gliny, spiczasto zakończone i tym końcem wpuszczane w ziemię, tak jak w Egipcie i Babilonii. Już wtedy wyrabiano beczki formą swoją przypominające obecnie używane. Pergaminy hebrajskie, egipskie, cegiełki babilońskie wspominają również o beczkach drewnianych. Beczki i dzbany przed ich napełnieniem systematycznie pokrywano zewnętrznie pewnym rodzajem emalii czy też laku lub może żywicy piwowarskiej. Emaliowania wewnętrznego ceramika starożytna nie stosowała.

Z pism Mojżesza dowiadujemy się o wyższości techniki piwowarstwa żydowskiego owych czasów nad egipską i babilońską. Tam fermentacja prowadzona była samoistnie, tu natomiast mówi się wyraźnie o zadawaniu drożdży, starano się więc przeprowadzić ferment normalny, nie tylko podczas wytwarzania piwa, lecz nawet przerabiając piwo zepsute na ocet piwny.

Ówcześni piwowarzy i chemicy rozumieli też dobrze, jak wybitną rolę odgrywa w fermentacji płynów temperatura, więc umiejętnie ją regulując, wytwarzali napój wzorowo odfermentowany. Kroniki ówczesne wspominają tylko o piwie górnego fermentu, o fermentowaniu piwa za pomocą drożdży dolnych nie ma najmniejszej wzmianki w pismach Mojżesza.

Od Babilończyków umiejętność warzenia piwa przejęli Egipcjanie, skąd sztuka ta, wraz z Żydami, przedostała się do Palestyny i innych krajów Azji, a z czasem do Grecji i Rzymu.

Czasy panowania Rzymian wstrzymują na dłuższy okres czasu rozwój piwowarstwa, szczególnie wśród ludów Europy. Przypisać to należy rozwiniętej wśród Rzymian konsumpcji wina oraz przesądowi, że piwo za czasów rzymskich zwano napojem „barbarzyńców", a Tacyt wspomina nawet, że północni „barbarowie"- Goci znali sztukę warzenia piwa zwanego „biór"i pili go dużo. Od Gotów umiejętność ta przeszła wraz ze zmienną nazwą „BIER" na Germanów, a stąd na inne kraje Europy, nie wyłączając Polski.

Z biegiem czasu zmieniają się sposoby warzenia piwa, dając w rezultacie dzisiejsze uprzemysłowione warsztaty pracy. Dodatnio na uszlachetnienie wyrabianego piwa, poczynając od wieków średnich ,wpłynęła konkurencja przywożonego, względnie wyrabianego na miejscu wina.

Duża zasługa przypada klasztorom, gdzie wytwarzaniem piwa zajmowali się ludzie przyzwyczajeni do systematycznej, wytrwałej pracy, dzięki której stale doskonalą się metody produkcji piwa oraz sposoby wyrabiania produktu trwałego, szczególniej wobec wydanego w swoim czasie w Niemczech rozporządzenia zabraniającego warzenia piwa w okresie od 23 kwietnia do 29 października, co zmusza również do obmyślenia sposobów przechowywania tego napoju w stanie niezmiennym do następnej kampanii.

Do najlepszych piw warzonych w klasztorach zaliczono wówczas wyroby zakonu franciszkanów w Bawarii.

Bezustannie ulepszane sposoby produkcji tego piwa doprowadziły wreszcie do wypracowania stałej metody postępowania pod nazwą „bawarskiego sposobu warzenia piwa", która przyjęła się w całym prawie piwowarstwie światowym .Lecz dopiero po ściśle naukowych zabiegach, uniemożliwiających przedostawanie się aparatów obcych organizmów szkodliwych, otrzymano prawdziwie czystą hodowlę drożdży i zabezpieczono proces fermentacji od niepożądanych wpływów ubocznych, co poza przedłużeniem trwałości piwa zapewniło mu wysoką wartość jako niezrównanego, absolutnie pewnego, czystego i higienicznego napoju. Oprócz piw bawarskich sławne były piwa angielskie, musujące i burzące, dzięki swym zaletom były masowo sprzedawane za granicą, nie wyłączając Polski, gdzie w XVIII wieku były nawet bardzo modne i dzisiaj jeszcze gatunki piw angielskich pod nazwą „ALE" i „PORTER" cieszą się dużym uznaniem, stanowiąc poważny artykuł eksportu. Podobnym sukcesem cieszy się również piwo pilzneńskie, po raz pierwszy wyprodukowane w roku 1842 w miasteczku Pilzno w Czechach. W Polsce piwo było znane już za czasów Piasta. Wprawdzie nie był to napój pierwszy - przez długie lata ustępował on trunkom Sarmatów, to jest miodom- ale z chwilą wprowadzenia go do Polski szybko staje się ulubionym napojem wszystkich, także i miodosytnich. Wkracza do browarów, które stały się w ten sposób wytwórniami zarówno piwa jak i miodu.

Zawodowo, tj. nie tylko na własne potrzeby, zaczęto warzyć piwo od 1291 roku. Dużą zasługę w spopularyzowaniu piwa mają królowie polscy, poczynając od Bolesława Chrobrego, który był gorliwym zwolennikiem i amatorem piwa. Pragnąc rozpowszechnić konsumpcję piwa królowie jako najwyższy przywilej rozdawali miastom prawo wyrabiania tego napoju. Pierwszy taki przywilej nadaje Przemysław w roku 1295, a kilkadziesiąt lat później, tj. w roku 1350, uzyskuje go również Warszawa. Najliczniej przywilejem tym obdarowane były miasta za czasów Władysława Jagiełły (Wilno w roku 1432), a Zygmunt August pragnąc ulepszyć wyrób ulubionego przez siebie napoju, nadaje dwóm sławnym, sprowadzonym z Niemiec piwowarom przywilej na wyrób piw ich wynalazku. To wpłynęło dodatnio nie tylko na polepszenie się jakości piwa, ale i na spożycie, zmniejszając zarazem konsumpcję sprowadzanych piw z Brandenburgii, Gdańska, Wrocławia, Czech itp., itd.

Powoli Polska zyskuje wyborowe gatunki piw produkowanych w Kaliszu, Lublinie, Krakowie, Proszowicach, gdzie w 1515 r. po raz pierwszy uwarzono ciemne piwo zwane „marzec".

Na dowód, jak dużo w tych czasach wyrabiano piwa i jak bardzo było ono popularne, przytoczę 2 fakty: pierwszy, to nie wystarczające naonczas plantacje chmielu, którego brak 2/3 całego zapotrzebowania pokrywały Czechy, drugi fakt, zaczerpnięty ze statutu rzemieślników krakowskich z roku 1600, stwierdza, że mistrz obowiązany był dawać zatrudnionym przez siebie towarzyszom co najmniej po kwarcie piwa na śniadanie, obiad i wieczerzę.

Zresztą i pisarze nasi z tych czasów, będąc sami wielkimi amatorami piwa, wychwalali ten trunek w swoich utworach informując zarazem o rozmiarach jego spożycia i produkcji. Szczególnie Rej, który - jak sam podaje - nad wszelkie małmazje przenosił piwo polskie, tak je swoim zwyczajem rubasznie zachwala: „Tylko w krajach jak w Polsce, gdzie cebrem piwo się pije, a pani matka w sześciu niedzielach donicę z grzankami piwa wychyli, rodzą się chłopi silni i postawni jak te żubry".

(cdn)

Stanisław Prałat

TORT Z WINOGRON (DUŻA TORTOWNICA)

I. Biszkopt migdałowy

5 jajek
150 g cukru
125 g mąki tortowej
125 g obranych i zmielonych migdałów
4 łyżki białego wina
starta skórka z 1 cytryny
1 łyżeczka soku z cytryny

Wykonanie: Oddzielić białka od żółtek. Białka ubić na sztywno z sokiem z cytryny i 50 g cukru. Żółtka ubić z 100 g cukru, skórką z cytryny oraz pod koniec z winem. Na ubite żółtka wyłożyć pianę z białek, mąkę i migdały, lekko wymieszać, wyłożyć do natłuszczonej tortownicy, piec 25-30 min. w temp. 180 °C. Wystudzić, przekroić 2 razy.

II. Masa do przełożenia

½ l śmietany kremówki
¼ l białego wina
4 jajka
175 g cukru
żelatyna rozpuszczona na 1 l płynu
2 plasterki cytryny
2 goździki
1 laska lub płaska łyżeczka cynamonu
1 op. cukru waniliowego
szczypta soli

Wykonanie: Wino, plasterki cytryny i przyprawy korzenne podgrzać, rozpuścić w nim żelatynę i zostawić na 10 min. pod przykryciem. Z jajek, 150 g cukru, cukru waniliowego i soli ubić krem, wlać gorące wino przez sitko (bez przypraw) i przez 5 min. ubijać we wrzącej kąpieli wodnej na gęsty krem, który następnie ostudzić lekko ubijając, a nawet wstawić na krótko do lodówki do lekkiego skrzepnięcia. Śmietanę kremówkę ubić z resztą cukru, następnie wymieszać z krzepnącym kremem. Natychmiast w tortownicy posmarować dwukrotnie przekrojony biszkopt i lekko po wierzchu. Tortownicę wstawić do lodówki.

III. Galaretka

1 galaretka cytrynowa
¼ l białego wina
1 kg winogron (białe, czarne i czerwone)

Wykonanie: Galaretkę rozpuścić w ½ szklanki wrzącej wody, dodać wino. Winogrona rozłożyć na torcie przybierając połówkami cytrynowych płatków (b. cieniutkie wkładać między winogrona) ewentualnie świeżymi listkami mięty. Zalać krzepnącą galaretką z winem, wstawić do lodówki.

IV. Wykończenie

Wyjęty z tortownicy tort z boku posmarować grubo ubitą śmietaną (150 g) przyozdabiając cieniutkimi podłużnymi niteczkami z żółtej skórki cytryny.

Smacznego!

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

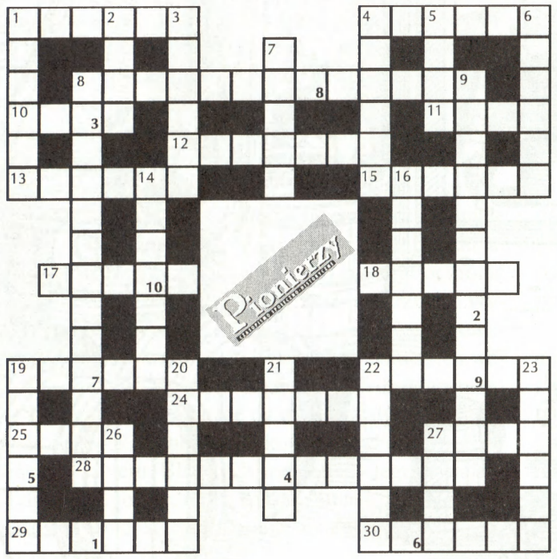

POZIOMO:

1. przytrzymuje siodło; 4. figura na szachownicy; 8. zniewaga, obelga; 10. rzeka w Norwegii i Finlandii; 11. pretensja, żal; 12. bodziec, podnieta; 13. sztuka plastyczna; 15. gruba tkanina wełniana; 17. medal; 18. gratis; 19. część kraju; 22. galaretka z wodorostów; 24. kubański instrument muzyczny; 25. flanela; 27. zbocze; 28. nauka zajmująca się opisem ras ludzkich; 29. kateter; 30. obiata, ofiara kultowa.

PIONOWO:

1. wiedeński lunapark; 2. Rzym dla Włocha; 3. szewro, kozia skóra; 4. garaż na lotnisku; 5. żywotnik, drzewo wiecznie zielone; 6. rękojeść; 7. zarozumiałość; 8. komentowanie czegoś; 9. wróg kobiet; 14. gatunek wędliny; 16. scena zbiorowa w sztuce teatralnej; 19. izraelski PGR; 20. pierwiastek promieniotwórczy; 21. dęty instrument muzyczny; 22. produkt wietrzenia ropy naftowej; 23. nisza, sypialnia; 26. dzielnica Warszawy; 27. dawny obóz kozaków zaporoskich.

STANGAR

Litery z ponumerowanych pól w dolnych prawych narożnikach od 1 do 10 utworzą rozwiązanie, które należy przesłać do końca grudnia na adres redakcji „Pionierzy". Za prawidłowe rozwiązanie hasła redakcja rozlosuje ciekawe upominki.

Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru: „Zielona Góra moim miastem".

DZIEJE JEDNEJ POSESJI

Sala koncertowa i restauracja

Nie istniejący budynek na skrzyżowaniu ulic Łużyckiej i Dąbrówki, dobrze znany starszym zielonogórzanom. Już przed wojną znajdowała się tutaj sala koncertowa i teatralna będąca własnością Karla Kiefera. Po wojnie mieściła się tutaj restauracja „Parkowa" oraz kręgielnia. W parku zaraz za lokalem odbywały się zabawy taneczne. W latach pięćdziesiątych do dużej sali zielonogórscy kibice chodzili na walki bokserskie. Mieściła się tutaj siedziba Okręgowej Rady Związków Zawodowych. Na krótko przed rozbiórką znajdowały się w budynku biura PSS „Społem". W latach siedemdziesiątych, w związku z rozbudową ulicy Łużyckiej i Dąbrówki, budynek został rozebrany.

Jubilat

W tym roku przypada
125-lecie Naszego Browaru.
Jesteśmy dumni
ze swojej długiej i bogatej historii.
Tylko dzięki niej mógł powstać **Jubilat**
- produkt oparty na
najlepszych tradycjach warzenia
według receptury Reinheitsgebot z 1516 r.
Nasz **Jubilat** zdobył
I miejsce w konkursie
w kategorii piw jasnych pełnych na
V Jesiennym Spotkaniu Browarników
TYCHY '97

1872

BROWARY ZACHODNIE
LUBUSZ S.A.